

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 21 kwietnia 1946 r.

Nr. 16 (22)

PAWEŁ CLAUDEL

Fotografia Chrystusa

(list do Girard-Cordonier)

Przeczytałem z najwyższym zacięciem książkę p. t. „Męka Chrystusa” ukazaną przez święty Cahun, którą Pan był tak dobry mnie nadesłać. Długo wpatrywałem się w te przejmujące fotografie. Myślę, że było by dobrze, aby książka dotarła do najszerszych rzesz czytelników i pomogła chrześcijaństwu francuskiemu zrealizować to wielkie przeżycie religijne, jakie stwarza odkrycie fotografii świętego Cahuna. Znaczenie tego przeżycia mogę porównać tylko do drugiego Zmartwychwstania.

Myśl moja wraca do tego smutnego okresu, zamkniętego między latami 1890 i 1910, w którym to okresie upłynęła moja młodość i mój wiek dojrzały, do okresu podbitego przez nacierający materializm i sceptycyzm, ocienionego postacią Ernesta Renana. Ileż dokonano wtedy wysiłków, aby zatrzeć Boskość Chrystusa, aby zasłonić promiennność Jego Oblicza, aby spłycić istotę chrześcijaństwa, lub okryć ją bandażami wątpliwości i e-rudycji! Ewangelia, pocięta na małe wersety, była tylko zbiorem materiałów niespójnych i podejrzanych, z którego każdy amator mógł wznosić prowizoryczne i pretensjonalne konstrukcje. Postać Jezusa tonęła we mgłę literatury historycznej, mistagogicznej i powieściowej. I w końcu osiągnięto triumf! Jezus Chrystus pozostał tylko bladym cieniem, zarysem czegoś zmiennego, coraz bardziej się zacierającego. Magdalena mogła już iść do grobu. Zabrano bowiem naprawdę jej Pana.

A oto po latach zatarte Oblicze nieoczekiwanie odżywa na płótnie, ze zdumiewającą wyrazistością, z oczywistością nie tylko nieodpartego dowodu, ale i rzeczywistości istniejącej. Odległość dziewnianstwu wieków znika, przeszłość staje się teraźniejszością. „Co było od początku, cośmy słyszeli, cośmy widzieli oczyma naszymi, cośmy oglądali i czego ręce nasze dotykały o Słowie Żywota...” — pisze św. Jan. To nie tylko dokument oficjalny, jak by jakiś protokół opatrzone podpisami i pieczęciami. To obraz, który sam sobą swą rzeczywistość zaświadcza, a nawet to nie tylko obraz — to obecność! Jeszcze więcej — to fotografia czyli rzecz odcisnięta, niezacieralna. A nawet nie zwyczajna fotografia, ale fotograficzny negatyw, czyli oczywistość ukryta (jak Pismo święte — ośmielę się powiedzieć, zdolna jednak dzięki obiektywowi odkryć się w całej jasności. Nagle w 1898 r. po Straussie, po Rénanie, po okresie de Loisy'ego — jakby dla ukoronowania prac badawczych i odkrywczych kończącego się stulecia — zjawia się fotografia Jezusa. Ta, którą mamy przed sobą.

Ależ to On! On sam! Jego Twarz! Tyłu świętych i proroków płonęło żądzą Jej ujrzenia, zgodnie ze słowami psalmu: „Szukałeś mego oblicza, Panie, będę szukał Twojej Twarzy...”. A teraz stała się Ona nam dostępną. Jeszcze za życia dozwolonym nam zostało patrzeć twarzą w twarz w Oblicze Bożego Syna. Bo fotografia nie jest portretem robionym ręką ludzką. Między tą Twarzą a nami nie ma pośrednika ludzkiego. On sam materialnie zaciemnił kliszę — a ona z kolei weszła w posiadanie naszego umysłu.

Co za Twarz! Zdajemy sobie sprawę dlaczego ci kaci nie mogli Jej znieść i dlaczego po dziś dzień chcą ją zasłonić. Myślę, że wyrażę moją myśl, gdy po-



Według kopji 'Sw. Cahuna rysował Zygmunt Kamiński 1946.

wiem, iż jest ona mniej wizją drugoczącego majestatu, ile raczej czymś, co budzi uczucie naszej niegodności, świadomość naszej nicości. W tych oczach zamkniętych, w tym Obliczu zdecydowanym i jakby nasiąkłym wiecznością — jest siła porywająca. Przynosi nam ona świadomość siebie, jak cios miecza w serce przynosi śmierć. Rzecz zarazem straszna i piękna, od której można uciec jedynie

przez adorację. W takich chwilach przychodzi na myśl wspaniały werset Izajasza: „Ingredere in petram et abscondere in fossa humo a facie timoris Domini et a gloria Maiestatis eius”.

Ale to co piszę, nie ma służyć wyrazowi uczuć osobistych. Najchłodniejszy obserwator musi przyznać, że Człowiek, którego Oblicze zachowało się w tak szczególny sposób na Całunie tużyńskim,

ma wygląd niecodzienny i porywający. Znamy dobrze związek, jaki zachodzi między wyglądem twarzy Baudelaire'a i Beethovena, a uczuciami, jaki budzi ich twórczość. Czyż można zaprzeczyć, że między Zmartwychwstałym w 1898 r. a Człowiekiem, o którego słowach i gestach opowiadają cztery Ewangelie, istnieje również niezaprzeczalny związek? To stwierdzenie należy posunąć dalej. Dokument spisany i dokument graficzny zlewają się, uzupełniają wzajemnie. Czujemy, że stoi przed nami wzór, któremu żadne artystyczne odtworzenie, choć by mające wielką prawdziwość, dorównać nie potrafi i wydaje się tylko nędzną kopią. Chrystus Leonarda, Dürera czy Rembrandta wyraża pewną część Ewangelii. Ten natomiast wyraża wszystkie. A nawet więcej: On nad nimi panuje.

Tyle co do przekonań osobistych. A cóż powiedzieć o zbieżności materialnej, o całkowitej zgodności dokumentu, który mamy w rękach z poczwórnym opowiadaniem o Męce? Wszystkie jej ślady są tu wypisane jak najdokładniej: rany Rąk, rany Stóp, rana Boku, rana Ramienia, korona cierniowa, która nam przypomina pytanie Piłata: „Więc Ty królem jesteś?“, a wreszcie rany od biczowania, tak wyraźne, że budzą w nas jeszcze dzisiaj lęk. Fotografia ukazuje nam to Ciało, na które mistycy zaledwie śmieli spojrzeć, u-męczone dosłownie od stóp aż do czubka Głowy, całe pokryte śladami ran, całe w ranach, tak, że nie ma ani kawałka świętej Skóry, która by unikła okrutnej katuszy — uderzeń batów, zakończonych ołowiem, gałką lub hakiem! Nie słowa czytamy tutaj wiersz za wierszem! To cała męka staje przed nami w swej przejmującej grozie. Nawet jej godzinę można wyczytać: był wieczór i trzeba się było śpieszyć. Zawinięto więc zbroczone krwią Ciało w Całun, nawet Go nie obmywszy, aby tylko nie przekroczyć przepisanej pory nadchodzącego sabatu. Po- znajemy czas, w ciągu którego Ciało spo-czywało owinięte w płótna — czas określony postępowaniem rozkładu Trupa. Wiemy dlaczego przyjaciele Chrystusa uważali za potrzebne przyjść znowu do grobu dla dopełnienia toalety żałobnej. Wiemy dla-czego Ciało musiało być owinięte w Ca-lun, który potem Zmartwychwstały od-rzucił, jak motyl odrzuca swój kokon. A wreszcie, wbrew przemądrym dowodze-niom niektórych uczonych, badających Cahun, pojąć musimy, iż proces powsta-wania negatywu na nieprzygotowanej materii nie mógł być procesem natural-nym. Wśród tylu wypadków w okresie starożytności owijania ciał zmarłych, nie mamy zjawiska analogicznego. Boskość ujawniła się i zostawiła te cudowne śla-dy. I czyż tego dowodem nie jest fakt, że wszystkie pożary, których ofiarą padał w ciągu wieków kilkakrotnie święty Ca-hun, nie uszkodziły świętego Oblicza, a jedynie otoczyły Je wieńcem spalenizn.

Wdzięczni być powinniśmy władzom cywilnym i duchownym za pozwolenie dokładnego zbadania pamiętki, a także uczonym, takim jak Paweł Vignon, któ- rzy z wiedzą, a jednocześnie z wiarą, pod-jęli nad Całunem szereg prac bada-wczych. Teraz nadszedł czas rozpowsze-chnienia ich odkryć i dlatego z taką rado-ścią witam ukazanie się książki, którą mi Pan nadesłał.

Jadwiga Korczakowska

PIETA

...O, dajcie Mu jeszcze żyć!... Niech te wychudłe ramiona na nowo świat obejmą uściskiem wszechmiłości! Mało wam było szyderstw? Mało zniewagi, złości?... Chcieliście jeszcze, nędzni, aby w męczarniach tych skonał?!

Synu mój... otwórz oczy... Niech Twe najśłodsze spojrzenie pokrzepi słabość moją, a ludziom niech przebaczy... Gdy krzyż na siebie wzięłeś i krwią ofiarę znaczysz — czy chociaż straszną kaźnią złość ludzką w skrucę przemienisz?...

Synu mój... powróć do mnie! Czy widzisz rozpacz matczyną? Siedmiu mieczami tknięta, w bólu swym skamieniała, dźwigam ostatkiem siły zraniony owoc ciała... Modłę się, jak kazałeś: „Oni nie wiedzą co czynią...”

Jan Dobraczyński

Prawda Zmartwychwstania

Święta Wielkiejnocy są doroczną pamiątką pewnych tragicznych dni kwietniowych, w ciągu których wydany został wyrok, będący zakończeniem krótkotrwałego — bo tylko jedną noc trwającego — procesu, w odległej prowincji ogromnego rzymskiego imperium. Aż dotąd sprawa jest prosta, niemal biała. Ktoś — niezmany Przybysz z zielonej Galilei — wędrowny Filizof — może jakiś Sokrates izraelicki, a może tylko rekodzielnik o prymitywnej naturze prostaka — przybywa do Jeruzalem. Błądzi między pamiątkami zamartej wielkości, między rzeczywistością istniejącą, którą stanowi turris Antonia — symbol władzy Cesarstwa i wyzłocony cud świątyni, wzniesionej przez ugreczonego barbarzyńcę Heroda. Przesuwa się między kolorowym, rozkrzyczanym tłumem mieszkańców i pielgrzymów świętego miasta i głosi swą naukę. Co mówi? Rzeczy słoneczne i piękne, jak piękne są niebo i łąki galilejskie. Ujmuje swe słowa w formę prostej, rytmowanej poezji. Ale jednocześnie mówi z siłą, energią i stanowczością. Jego nauki mają posmak



zjącego piękna. A jednocześnie mają ostyry ton rzeczy prawdziwych. Tak prawdziwych, jak prawdziwym musi być chleb codzienny, którym żyje człowiek.

Może właśnie za ten ton wędrownemu Nauczycielowi wytoczony zostaje proces. Zblazowany urzędnik rzymski ma wydać wyrok. Waha się, zastanawia. wreszcie ogłasza: „Ibis ad cruceum“ — „jesteś skazany na krzyż“.

Aż dotąd wszystko mogło być rzeczą białą. Aż dotąd zgodni są ze sobą Strauss i Renan, i Ludwig, i ci wszyscy, którzy woleliby widzieć w Przybyszu z Galilei tylko piękne słowo, a nie Żywe Słowo. Wbrew ich pragnieniom sielanka kończy się chrypliwym zgrzytem. To nawet nie cykuta, podana w artystycznie rżniętym pucharze. To — krzyż! Śmierć haniebna, którą zadaje się złoźyńcom i jeńcom obleganego, a jednocześnie spotwarzanego miasta, śmierć tak okrutna, że sam jej widok — miał w owych czasach krwawych i przewrotnych — skłaniać — jak o tym pisze Józef Flawiusz — obleganych do uległości. Ciężki niehblowany słup, a na nim rozpięte Ciało, przybite gwoździami, okrwawione, zsi-
niałe.

Dziś wiemy dobrze, jak śmierć na krzyżu wyglądała. Dziś, gdy nagle w brunatnym zarysie sylwetki ludzkiej na tajemniczym całunie turyńskim odnaleźliśmy Chrystusa, jawą się stało całe wyrafinowanie bólu, jaki przynosiła każda na krzyżu. Nawet w obliczu okropności obcozów koncentracyjnych, można się do krwi spocić, myśląc o tamtej śmierci.

I taką to śmiercią we krwi i duszności zmarł Wędrowiec Galilejski. Nic się nie stało. Świat nie zmienił swego obrotu i tylko samotny kontemplator na egipskim wybrzeżu Dionizy Aeropagita, patrząc na zachmurzone niebo, ujrzał w jego siłności znak dokonanej zbrodni Bogobójstwa. Nie było Antoniusa, by pokazał „płaszcz skrwawiony Cezara i do zemsty zbudzi...“.

Tragiczny cień dla wyznawców nauki Galilejczyka! Zmarły, który tylko pisał

słowa na piasku i nie po sobie napisanego nie zostawił — umarł, zda się cały. Nie mógł powiedzieć po sobie: „Exegi monumentum aere perennius...“. Nie mógł się pochwalić: „moje będzie za grobem zwycięstwo“. Gdy umarł — umarł zupełnie. Nawet Jego Ciało zniknęło z zamkniętego grobu...

Lecz tutaj kończy się rzecz biała. Proces, zakończony śmiercią krzyżową, mały proces w małej, granicznej prowincji, urasta nagle do rozmiarów światowej sprawy procesu. Czynież wobec jego znaczenia jest proces Sokratesa, proces Galileusza, czy choćby tyle ech budzący fikcyjny proces Katuszy Masłowej ze „Zmartwychwstania“. Od dwudziestu wieków nie braknie Oskarżonemu adwokatów i prokuratorów. Prózne były pieniądze, ofiarowane żołnierzom przez „starszych i kapłanów“ z poleceniem: „Powiadajcie, że uczniowie Jego w nocy przyszli i ukradli Go, gdyśmy spali“. Proces trwa! Proces wciąż trwa! Krzyżują się w powietrzu tezy, zdania i riposty. Świat cały został podpalony tym procesem. Dwadzieścia lat trzęsła się Europa pamięcią procesu Dreifussa, lecz kiedy Dreifuss umierał, mało było takich, którzy pamiętali o co ostatecznie wtedy szło. Po dwudziestu wiekach proces jerozolimski ma tę samą — a nawet większą moc wymowy — niż w dni tamtego kwietnia. Tyle — zdawałoby się — sprzeczności. U Mateusza niewiastom o zmartwychwstaniu mówi Anioł, u Marka — młodzieniec biało odziany, u Łukasza — dwóch młodzieńców.

Niewiasty — wg. Mateusza — „wyszły z grobu z bojaźnią i z radością wielką biegnąc, by opowiedzieć uczniom Jego“. Wg. Marka „uciekły z grobu, albowiem zdjęło je drżenie i przestraszyły, i nikomu nic nie powiedziały, bo się bały“. Gdyby słuchać tylko Mateusza, można by sądzić że poza „niewiastami“ nikomu nie ukazał się Zmartwychwstały, aż po dzień spotkania „na górze“ w Galilei. Tymczasem powiada jednym „tchem“ Paweł: „że Chrystus... dnia trzeciego zmartwychwstał podług pisma i że się ukazał Kefie, a potem jedynastom; następnie ukazał się więcej niż pięciuset braciom pospołu, z których wielu żyje dotychczas, a niektorzy zasnęli; potem ukazał się Jakubowi; potem wszystkim apostołom; a na ostatku po wszystkich, ukazał się i mnie jako pgoniёнcowi...“.

Maciej J. Kononowicz

GRANICE

Z szubienicy dalszy, dalszy horyzont —
Kula w czoło rozświetli najczarniejszą noc —
Widzieliśmy granice z wysokości krzyża:
Szersze były. Głód rośnie i — moc!

Kopaliśmy jak krety pod ziemią, pod ziemią
Promienieście rozchodził się podziemny szlak —
Kiedy głośnie i mocniej armaty uderzą
Wyjdziemy — to będzie znak!

Polska, krzew gorejący, łuną się rozpręży.
Gdzie z kretowisk wyhyną ponad ziemię głowy —
Choćby to był ocean, Afryka czy księżyc —
Nie odejdzmy! Nie ma mowy!

Nie będziemy bezradnie nastuchiwać ciszy.
Nie będziemy się prosić i kraść —
Gdzie się mowę ojczystą usłyszysz:
Bagnet — pięści — i zęby — na to nas stać!

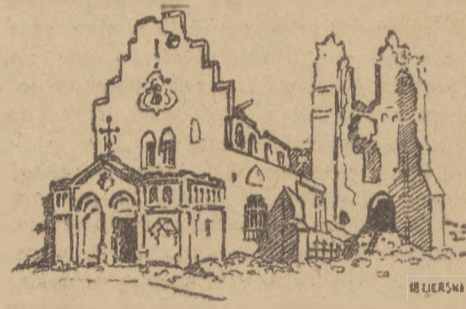
Niech nas zasypią gruzem samoloty,
Niechaj nas czołgi wgniotą w ziemię —
Ziemia, ziemia gromadzi prochy —
Zostaniemy! Z o s t a n i e m y!

Niech kreślą mapy panowie w cylindrach,
Niech groźnie marszczą i czoła i brwi —
My granice tyczymy z palcami na cynglach:
Papier podrzesz — nie podraż krwi!

Jedno wiem: tylko prosta pierś żołnierza,
Tylko serce napięte na cięciwie woli
Szerokie i prawdziwe granice wymierza
Metrem zwycięstw i — mogił.

I tylko silne żołnierskie ramiona,
Co wyrastają walką ponad pieśń.
Mogą Cię, Polsko, dźwignąć w górę
I nieść — — —

W tym świadectwie jest coś więcej niż uzupełnienie niepełnych opowieści poszczególnych Ewangelistów. Są dwa zasadniczej wagi stwierdzenia; jedno, że wielu z tych, co widzieli „żyje dotychczas“, drugie: że i sam Paweł widział. Słusznie powiada Mereżkowski: w przestrzeń, w wieki leci świadectwo mocniejsze, niż materialne dowody. To wyznanie, równe wyznaniu Jana, że „co było od początku cośmy słyszeli, cośmy widzieli oczyma naszymi, cośmy oglądali i czego ręce nasze dotykały o Słowie Żywota“ — to jest faktem, za którego prawdziwość są ludzie gotowi ofiarować swe życie. Bagatela! Jakis zwiariowany mędrzek, Delisle do Sales, wyliczył, że „fanatyzm religijny stał się przyczyną śmierci 33.095.290 ofiar“. Omylił się! Napewno się omylił. Prawda, że Chrystus Zmartwychwstał kosztowała świat setki milionów żyć! Kosztowała i kosztować będzie. Bo złudzeniem jest, że istnieje coś ważniejszego na świecie, jak sprawa Jezusowego Zmartwychwstania. Złudzeniem jest, że człowiek umiera dla czego innego, jak tylko dla „tak“ lub „nie“ Zmartwychwstania. Gdyby zmartwychwstania nie było — świat zmarłby natychmiast z obrzydzenia nad sobą samym. Świat nie miałby pogo żyć, bo jeśli żył, to tylko świadomością, że zmartwychwstanie nastąpi i jeśli żyje, to tylko świadomością, że zmartwychwstanie nastąpiło. Raj na ziemi, czy piekło na ziemi ma tylko sens w perspektywie zmartwychwstania. Rewolucje moralne czy socjalne są tylko odbiciem Rewolucji Zmartwychwstania. Albo nie są żadnymi rewolucjami. Nadludzie są tylko grą wyobraźni, bo jeden był jeno Nadczłowiek — ten, który Zmartwychwstał. Prawda jest tylko prawdą, gdy staje u progu opustoszonego grobu, a taką, która tam nie idzie nie jest wcale prawdą. Dobro jest tylko wtedy dobrem, kiedy żyje dobrem Zmartwychwstania. I Piękno jest tylko pięknem w Zmartwychwstaniu, a poza Zmartwychwstaniem nie ma piękna, jest tylko „bieg do śmierci“, zgnilizna, entropia i rozkład. Ecce veritas! „Jeśli że Chrystus nie Zmartwychwstał tedy próżne jest opowiadanie nasze, próżna też i wiara nasza... Jeśli w tym tylko życiu mamy nadzieję w Chrystusie, najbiedniejszymi z ludzi jesteśmy!“.



to gdzieś do kogoś powiedziane, ale nie do nas. Właśnie do nas! Każdy z nas jest tym ostatnim. Bo każdy z nas widział Zmartwychwstałego.

Może będziemy twierdzili, żeśmy Go nie widzieli?!

Może będziemy ludzi — siebie przede wszystkim — że w dniach grozy nie czuliśmy przy sobie Jego obecności?!

Ale to będzie tylko łudzenie siebie. Należymy do pokolenia, które wie i widziało. Wyszliśmy z pożaru, jaki dotychczas nie trawił jeszcze świata.

Atylla, Dzyngis Han, Napoleon — to zabawki! Teraz dopiero zobaczycia historia, co znaczy tłumić ogień Rewolucji Zmartwychwstania. Teraz dopiero pokażać człowiek, kim potrafi być. Prosiłem by do mych słów artysta dorysował ruiny dwóch najpiękniejszych kościołów Starego Miasta. Dlaczego? Bo te ruiny mają swą oszałamiającą wymowę. Bo te ruiny kościołów, do których chodziliśmy jako dzieci i z dziećmi na doroczne groby, beztroscy na to, co się wokoło nas dzieje, przeżywać „piękno“ — słyszycie: „piękno!“ — wielkiego tygodnia i zadowoleni z tego „piękna“ wracaliśmy do naszych zaśmierdych nierobstwem domów, by w godzinę zapomnieć o wszystkim, jakby nigdy nie było Zmartwychwstania — te ruiny są dla nas upomnieniem i wyrzutem. Kościoły rozbiły bomby niemieckie. Odbudujemy je. Biada nam jednak jeśli odbudujemy jednocześnie naszą obojętność do Rewolucji Zmartwychwstania.

Starówka leży w gruzach. Gdzie był grób są groby. A raczej: gdzie były groby, tam nie ma grobów, bo tam leżą niepogrzebani, przywaleni gruzem i tragedią nasi najmłodszy bracia. Oni — ci najdzielniejsi i najodporniejsi — już swą postawę wobec Zmartwychwstania okazali. Ale myśmy przeżyli. Żyjemy. I nie jest jeszcze skończone ani załatwione. Żaden krzyż czy medal postawy naszej wobec życia a priori nie określi. Bardzo to piękne powiedzenie: jesteśmy pokoleniem dobrze zasłużonych... Dobrze, dobrze. Ale przecież proces trwa.

Proces trwa. W każdym z nas, w każdym narodzie, w całym świecie. Opowiadanie dla grzecznych dzieci, że: „coż my zrobimy, skoro wszyscy są złodziejami“. Do przedszkola z taką filozofią! Jeśli Chrystus Zmartwychwstał, to świat do nas należy. My go mamy budować i urządzać, nie kto inny. „Nie dają nam nic

zrobić...". Do przedszkola! Jest co robić na świecie, dzięki Bogu! Jest co robić w Polsce, dzięki Bogu! Mamy roboty po uszy, po ostatnie włosy na głowie. My — katolicy!

Tym, którzy się skarżą, że „Nikt im nie robić nie daje“ powiem coś więcej, niż zapewnienie, iż nie mają racji. Stawiałem już kropkę po ostatnim zdaniu tego artykułu, kiedy nagle ta sprawa do mnie doszła. Nie ona jest jedna w Polsce i w Warszawie... Och, napewno! Ale mało jest spraw równie jak ona tragicznych.

W Warszawie żyje parę tysięcy młodzieży akademickiej. To ci, którzy nie zginęli na barykadach. Elementy zahartowane w walkach, ale zżarte obozami, niewolą, nieraz Pawiakiem, głodowaniem latami, wyczerpującą, straszną pracą konspiracyjną. Ta młodzież chce się uczyć. To wielkie słowo. Setki tysięcy ich rówieśników poległo, tysiące innych pozostaje niezdecydowanych zagranicą, karmione szaleńczą propagandą, nie wracają, nie uczą się, trawia bezcelowo czas. Ci wrócili i uczą się. Kto się jednak nad tym zastanowił, w jakich warunkach odbywa się ta nauka? Tylko mi proszę nie odpowiadać, że przecież zawsze tak było, i zawsze przysłowioowo ciężkim był los studenta. Takie powiedzenie byłoby wreszcie stwierdzeniem, żeśmy spali i znowu marzymy o spaniu. Dość spania! Nie po to bomby niemieckie rozwały Warszawę, aby nam pozwolić dalej spać.

Młodzież akademicka w Warszawie żyje w warunkach strasznych. Koczuje w piwnicach, w ruinach, w norach. Jak można żądać od kogoś by się uczył, gdy mieszka jako szósta czy siódma osoba w małej izdebce? A jednak tacy się uczą. Uczą się po bohatersku, zjadają, zawzięcie, w poczuciu, że to jest obowiązek, który mają wobec Ojczyzny wypełnić.

To nie przesada! Znamy młodego historyka, który po 5-ciu latach Dachau, dochrapał się wreszcie w Ojczyźnie wiązki słomy i starego koca, a do uczelni goni codziennie z końca Pragi, bo nie ma pieniędzy na samochód. Nie on jeden. Popatrzcie na tych, co się wloką codziennie rano przez most, już zmęczeni, choć się jeszcze nie dostali na wykłady, prawie bosi, obdarci i głodni. Chcicie wiedzieć, ile studentek w domach akademickich ma bieliznę pościeloną? Myślicie, że co druga? — Nie — proszę państwa katolików i pań katoliczek. Co piąta ma prześcieradło, co dziesiąta — dwa prześcieradła. A co jedna? Wstyd powiedzieć: — nie jedzą obiadu w Bratniaku za piętnaście złotych, bo ich na te piętnaście złotych nie stać. Zapytajcie się ich sami, albo lepiej — nie pytajcie się. Nie odpowiedzą wam. Popatrzcie tylko na ich twarze, na twarze, na których napisane jest wielkimi literami wyrok:

GRUŻLICA!

Powstanie było naszą wielką tragedią narodową. Straciliśmy w nim tylu wartościowych ludzi, tyle wartościowej, najwartościowszej młodzieży. Ale — do licha — jeżeli ta straszna hekatomba nie otworzyła nam oczu na rzeczywistość niebezpieczeństwa, które grozi całej młodzieży, to naprawdę nie zażyliśmy na nie lepszego niż na rozwaloną stolicę! Naród żyje jeżeli żyją jego dzieci i jego młodzież. Przypatrzmy się jednak dobrze temu życiu i powiedzmy czy to można nazwać życiem. Jest taka koleżanka Stefania, chyba polonistka. Mieszka pod Bielanami, pracuje a pracować musi — bo na dodatek utrzymuje jeszcze dwoje rodzeństwa — bagatela — tylko na Mokotowie. Codziennie spacer z Bielana na Mokotów i z powrotem, praca, nauka. Na jedzenie zupełnie nie ma czasu. Pozwoliła sobie tylko na luksus anemii. I to jest życie? I tak powinno wyglądać życie chcącej się uczyć studentki?

Koleżanka Halina utrzymuje matkę. Z czego? Sprzedaje drut do kwaciarni. Wyobraźmy sobie jakie fantastycznie wysokie są jej zarobki. Chodzi za nimi całe dnie. Drze jedynie buty. Uczą się — na chodząco. Gdy wraca do domu, by wreszcie się nad książką, znajduje w izbie — bez mebli! — sześcioro współlokatorów, gadających jak rozszczękany karabin maszynowy.

O ileż łatwiej było iść koleżance Halinie na „Tygrysa“ z butelką benzyny w

repe, o ileż prościej było koleżance Stefani wynosić rannych z pod ostrzału! Głupstwem było, koleżanko Olimpio, gdyś chodziła jako łączniczka kanałami, ale — przyznaj — że to za dużo na twoje siły uczyć się i utrzymywać dwoje przykutych do łóżka rodziców.

A pomimo to na złość twej dołi, ci młodzi chcą się uczyć. Nie ma na nich rady. Chcą i już! To oni odbudują stolicę. Nie żadne Bosy. Oczyszczają swymi płucami zakurzone ulice, gnieżdżą się pod chwiejącymi się murami. I uczą się, uczą się, uczą się! Oni odbudowują Polskę. Bo coby to było, gdyby nagle całe to zagrzuźliczone, kaszlące, mdlejące, anemizujące bractwo powiedziało: dość! nie będziemy się uczyli! To przekracza nasze siły!!

Cicho powiem: bądźmy spokojni, oni tak nie powiedzą. Będą się uczyli, chorowali, umierali, a nauki nie porzucą. Ale my, my wyznawcy jedynej, prawdziwej religii, jedynie prawdziwej rewolucji społecznej — co powiemy? Że — niech tak dalej będzie? Że — będziemy płakać rozbitych murów, rozbitych kościołów, „grobow“ dziecinstwa na malowniczej starówce — ale dla tej żyjącej, kaszlącej i uczącej się młodzieży nie potrafimy wydusić z siebie ani jednej łzy?

Maria Budzanowska

Racjonalne podstawy i racjonalnego światopoglądu

Niejednokrotnie podkreślano, że katolicyzm nie podaje gotowych rozwiązań w dziedzinie życia społecznego, politycznego, naukowego i t. d., tylko na samych katolików nakłada obowiązek działania na tych polach, a nawet, jak dowcipnie zauważono, daje im przywilej błędzenia. To też ośmielając się kreślić niniejszy artykuł i usurpując sobie tytuł katolicki, odwołuję się do tego przywileju i na własną odpowiedzialność przyjmuję ewentualne błędy.

Pragnąc zabrać głos w sprawach, poruszonych przez St. Żółkiewskiego w artykułach „Głos marksisty“ i „O poziom dyskusji“, zamieszczonych w „Odrodzeniu“, będę się posługiwała terminologią, używaną w podręczniku prof. Kotarbińskiego, bo, po pierwsze, innej nie znam, a, po drugie, zna ją obóz przeciwny.

Zaznaczam na wstępie, że katolik, podchodząc do zagadnień naukowych, opiera się na założeniu zgodności i niezależności wiary i wiedzy. Z tego stanowiska, spotykając się z dowodem, to jest całkowitym uzasadnieniem jakiejś tezy sprzecznej z katolicyzmem, będzie podawał w wątpliwość prawdziwość zdań, ze względu na które ją uzasadniono lub też zakwestionuje poprawność reguł, przy pomocy których ją otrzymano. Ale taka potrzeba zachodzić będzie wówczas tylko, gdy próby uzasadnienia będą się mieściły w ramach rozumowania dedukcyjnego. Inaczej nieco rzecz się ma z marksizmem, o ile sądzić można na podstawie artykułów St. Żółkiewskiego. Schemat naukowego uzasadnienia marksizmu ma polegać na hierarchii następstw i racji w takim porządku: wyniki nauk humanistycznych, których racją jest marksistowska teoria kultury, stanowiąca następstwo dla jej racji: materializmu. Ponadto hierarchia ta jest ustalona w drodze rozumowania r e d u k c y j n e g o (oby chochlik drukarski nie zamienił litery „r“), tak, że choć z materializmu wynika marksistowska teoria kultury, z tej zaś wynikają osiągnięcia nauk humanistycznych, to jednak, chcąc wykazać fałsz tej teorii, należało by obalić jej następstwa: wyniki nauk humanistycznych. Przy dzisiejszym stanie wiedzy, kiedy to nauki humanistyczne uświadamiają sobie dopiero konieczność dążenia do uściślenia swych twierdzeń i uzgodnienia ich z wymaganiami metodologii, przyczym sama ich metodologia nie osiągnęła jeszcze zadawalniającego stopnia precyzji, kiedy dyskutuje się nad możliwością syntezy w historii i nie wiadomo dokładnie, w jakich warunkach taka synteza byłaby poprawna, zadanie to byłoby bardzo trudne, a może nawet beznadziejne, gdyż wyniki nauk humanistycznych mogą okazać się prawdziwymi. Ale katolika nie przerazi fakt, że uzasadniają one tezy sprzeczne z jego poglądami, gdyż uzasadniają je tylko częściowo, jak to się zwykłe dzieje przy indukcyjnym poszukiwa-

Halina Maria Wierzejska

Fra Angelico

Z cyklu „Z galerii mistrzów“.

Pod starymi łukami klasztoru San Marco
mnich biały jak na ziemi zabłąkany Anioł
rozwił tęcze swych wizji. Myśli lotna barka
płynie przez nie jak poprzez błękitów otchłanie,

podziwiając w olśnieniu jak zaklął w obrazy
przezystą swą miłość, żar świętej tęsknoty
i odbłask ponadziemski najwyższej ekstazy —
pieśń duszy uniesionej przez anielskie wloty...

Subtelne barwy fresków drżą od drżenia ducha,
mistycznych lilij bielą, której nic nie plami,
wibrują jak melodią nieznaną dla ucha
upojonymi tony Pieśni nad pieśniami.

Warszawa, 18.I.1943 r.

Treścią święta Zmartwychwstania jest wiara w życie, w zwycięstwo nad śmiercią. Treścią wiary w Zmartwychwstanie jest świadomość ładu i dobra w świecie. Kto uwierzył w Zmartwychwstałego, ten wierzyć musi w sens życia. Ale, jak nie wystarczy jest wierzyć w Boga, tak nie wystarczy wierzyć tylko w harmonię świata. Harmonia się tworzy, świat się

przekształca i wykuwa. Każdy na swoim podwórku musi uczynić swój obraz prawdy Zmartwychwstania. Naturalnie — nie w manifestach. Bez „Nożuf w bzu-hu“. Bez blaki. Naprawdę. Ażeby postawić kropkę nad i powiem: młodzieżą akademicką zajmuje się „Caritas“ akademicki. I potrzebuje bardzo dużo. Od ka-
zdego.

Jan Dobraczyński

Wierze nie przysługują wprawdzie naukowe kryteria prawdy: intuicyjne (oczywistość) i strukturalne (uzasadnienie), ale przysługuje jej kryterium genetyczne. Naukowym sprawdzianom będą się poddawały twierdzenia orzekające, na czym takie kryterium polega i kiedy jest niezawodne, oraz twierdzenia rozstrzygające zagadnienie oceny poszczególnych kryteriów. Nie przesądzać kwestii, czy zachodzi równoznaczność, a nawet czy tylko równoważność między nazwami: „prawdziwy“ i „zgodny z rzeczywistością“, „prawdziwy“ i „pozyteczny dla gatunku“, „prawdziwy“ i „pozyteczny“ dla jednostki, „prawdziwy“ i „nadający się w charakterze przesłanki do budowania planów działań skutecznych“ prawdziwość naszych sądów, dlatego jest cenna, że przyczynia się do osiągnięcia utilitystycznych czy pragmatystycznych celów, a z tego punktu widzenia obojętnym jest, jakie one posiadają kryterium, byle tylko było niezawodne.

Choć podstawowe dogmaty katolicyzmu nie są ani oczywiste, ani uzasadnione, to jednak nie można im zarzucić nonsensu w znaczeniu pomieszania kategorii semantycznych, a także jawnego fałszu, co możnaby poznać po samej strukturze zdania, gdy jest ono podstawieniem negacji jakiegos wzoru logiki formalnej. Wprawdzie w tym ostatnim względzie prof. Witwicki w swojej „Psychologii“ stawia zarzut przeciwko Bóstwu Jezusa Chrystusa, twierdząc, że dogmat: „Jezus Chrystus jest Bogiem i Człowiekiem“, jest sprzeczny z ontologiczną zasadą sprzeczności, gdyż każe wierzyć w istnienie kogoś, kto jest śmiertelny i nieśmiertelny i t. p., czyli posiada daną cechę, a zarazem jej negację, ale aby się od tego zarzutu uwolnić wystarczy przytoczyć fakt wieloznaczności spójnika „i“ i w tym wypadku spójnika tego nie interpretować jako łącznika międzynazwowego w tym znaczeniu, jak jest on używany w rachunku nazw, tylko nadać mu znaczenie najbliższe temu spójnikowi, którym łączymy nazwy części tego samego przedmiotu, jak np. w zdaniach: „Człowiek, to dusza i ciało“, „Państwo, to ludność i terytorium“ choć w skład konotacji tych paru nazw wchodziły cechy sprzeczne.

Wkońcu zaznaczyć trzeba, że katolicyzm posiada godne zaufania kryterium, co nie wyklucza innych kryteriów. Jeżeli dla kogoś naukowe kryteria mają szczególną doniosłość, to możliwym jest ich stosowanie przy stwierdzeniu historycznego faktu zmartwychwstania Chrystusa. Jest możliwa analiza i interpretacja źródeł, które o tym fakcie mówią. Ale to już osobne zagadnienie, oddawna bogato opracowane.

W każdym razie rola naukowych sprawdzianów ograniczy się głównie do stwierdzenia, że danej prawdziwie wiary przysługuje kryterium pochodzenia od Chrystusa lub od Kościoła.

Tadeusz Rokitniak-Chróścielewski

Narodziny księżycy

Eli, Eli, Lamma Sabakthani!
Czyś usłyszał kiedy ten głos? Po nim to właśnie
dusza — pęk złocieniowy
nieco może blady — szeroko płatki rozwinie.

Czy słyszysz charkot rozdzierającej się zasłony?
Idą umarli z twarzami z rdzy na zachód i wschód...
Nie oddychają...
Do naszego domu zajrzał „on“ — ten, który odszedł
temu pięć lat.

Ręce wygryzione miał przez ziemię.

Patrz. — Z krzykiem uleciało ptactwo na pustynię
dalekich bezoddechów.

Patrz: — Uczyniło się cicho, jakgdyby opłatek
ametystowego abstraktu...

Patrz. — Umarli odeszli krokami długimi po
odległych gruntu pochyłościach.

...I tylko e g o głowa tam na krzyżu
I lzy płynęły z oczu, które widziały świt.

Rozprysły się z trzaskiem chmury, jak zuchwała
zasłona świątyni

I ukazał się u góry olbrzymi srebrnik i zwiast
I lśnił na wspaniałym zielonym trawom mego dzieciństwa
Na świadectwo prawdzie, że przyszedł Bóg,
lecz wymieniono Go na s r e b r o.

Józef Baranowski

R U I N Y

Wszystko już my przeżyli —
Kalecząc swe serca
Czerwieńią cegieł i smutkiem
Kamienic spalonych,
A dzisiaj zmierzch wiosenny
Porozkwitał w fiołkach,
Które kwitną
W ruinach
Okruchem gwiazd strąconych.

Blok czołgu
Wsparł się o przeszłość — —
I zardzewiał czasem —
W splotach drutów,
Jak w myślach zawitych poczyni —
Ktoś kredą białe imię napisał —
Płuszając ciszę
Ostatnim zapytaniem,
Ostatnim krzykiem syna:

Tu mój dom,
W tych ruinach,
Wśród dziecięcych wyznań —
Tu schody z cegieł i piasku,
Z kamieni: Ojczyzna.

Tutaj mieszkam jak dawniej
I z dziećmi się bawię,
Tu rozpalam mym sercem
Zyjącą Warszawę.

Nie trzeba płakać matko;
Grad deszczowych kropel,
Pył krwi obmył z kamieni,
Jak z ostrza bagnetu
Połysk śmierci spokojnej —
Która splota sercu
Dług cierpienia — zapłatą milczenia
— Zbyt hojną.
Tutaj kwitnie modlitwa
Szeptem Chrystusowym,
Pod baldachimem nieba
Przestrzennym — — jak Ojczyzna.

Może kiedyś zrozumiesz,
Może kiedyś dosłyszysz,
— jaką pragnąłem mym sercem
Miłość Tobie wyznać — —

Jerzy Ficowski

Niebieskim ptakom

Mówicie: złote stożki ognia podszyte błękitem,
jak oczy albinosa — plamy krwi na śniegu.
— To—spłonęli w swych domach, to trafieni w biegu
padając, wybuchali krwią swoją, jak krzykiem.

I skowyt. Ten jęk ludzki. To nie jest to samo,
co wasze żale, smutki, fioletowe kraje.
Odchodzące na zawsze, na wieki zostają
przy nas skończone płacze: cieniem, widmem, raną!

Przyjdą wiosny, jesienne opady ze złota
i mięso, wielkie krzywdy w zboże nam wyrosną.
Niedokńczony uśmiech zmarłych swą pieczęcią
wita nas w każdej grudzie, kwitnie każdą wiosną.

Stanisław Ziembicki

M I Ł O Ś Ć

Na pół ziarno podzielię z tobą i zły cień —
równo, jak Ten, co dzielił czyniąc strony świata —
i jak twój grzebyk srebrny dzieli włosów pęk,
strząsając na policzki dwa strumyki światła,
tak mnie i tobie będzie się dzielił drobny dzień.

Bo to są właśnie progi wieczystych, złotych wód,
gdzie — niczym wiatr niebieski — nazaretańska Muza
kamienie w chleb przemienia i w kwiat rozwija żwir —
stworzenia franciszkańskie w zwęglonych wężach
gruzach
i w pyszczkach z nich wynoszą soczysty, jasny miód.

Tu widno — lisiej broni nie można nigdzie skryć,
tu pocisk zanieiony w skórzanych ładownicach
rozsypane się w pszenicy niecierpliwym piachu,
na hełmie przewróconym usiadzie gołębica —
szczebiocąc będzie z niego poranną wodę pić.

Na tych progach piotrowa się wygrzewa lódz
i niemowlęta leżą jak muszle różowe,
i tu wszystko przebaczyć można i pojednać —
i nieść jak wielką mądrość — spokorniałą głowę,
choćby jej odjęto nawet biały mózg.

I tak po wszystkie dni, po wszystkie dni,
aż jedno ziarno piasku u końca wygiętej
na dłoni linii życia przemieni się w glob
i przyjmie nas i wyda się drogie i święte,
jakbyśmy dotąd tylko po czarnych skałach szli
Zakopane, 1946.

Jan Marszałek

Zamiast inwokacji

(Fragment poematu „Gałąź oliwna“)

Paniczny dzień już świtał w wieńcu bladych ogni.
Turkotały jarmarczne wozy — tanki,
o żelaznym rogatym czole,
łopotały chorągwie o błyszczącym zaranku,
pancernym wojskiem dudniły kwitnące pola.

Słoneczne niebo rysowały skrzydłami żelazne ptaki,
młyńskim warkotem meły obłoki, jak wiatrak.
Od zachodu szła chmura i pod silnym wiatrem
nadciągała z pomrukiem, czerwienią od maków.

Na słupach dymu wznosiły się dachy kudłatych nocy,
pisane hieroglifem wrogiej artylerii,
odpryskami wystrzałów osłaniały się armie w od-
wrocie,
gdw u wrót kraju chłopcy młodzi z bagnetem w sercu
legli.

Jeszcze się w głębiach lasów tłukł zabłąkany patrol,
tropiony napastliwie kulami huku,
gdy wśród rumowisk miast obcych sztandarów natłok
wkraczał z prusacką butą.

Próżno Hel na ściśniętej, bałtyckiej rubieży,
W pożarach zórz i brzasków, w dymach i niesławie
dogasał kraj nad brzegiem smutnołistnej jesieni,
lecz wierzył:

...Zielony wiatr w poszumie odnowy się wspieni,
wojskową wieść — pobudkę — rozniesie po polach,
tabuny rozhułkanych żołnierzy i koni
uśpioną ziemię przebiegną wśród wołań:
Alarm!

Nagły wiatr gwiazdy zimne pogasi w błękitach
i ziemię od krwi rumianą osypie płatkami świtu...

Janina Siwkowska

* * *

Raz mi się śniłeś straszny, herodowy,
W koronie złotej, klejonej z papieru.
Nie odwróciłeś w moją stronę głowy,
Więc ja sprawdzałam, czyś Ty nie jest Herod
I wciąż Cię lżyłam straszliwymi słowy.

A gdyś tak siedział krwawy i cierpliwy,
Jak król — skazaniec i biedny morderca —
Nagłym olśnieniem pojąłem te dziwy —
I to cierniowe na tronie czuwanie
Ogdałam. Krzyknęłam: Chrystus Frasobliwy!

Lecz już mi ręce ciche do ust podał
Ten, co pokutę pełnił za Heroda.
1941 r.

Lesław M. Bartelski

Kolysanka dla Marka

Sny zawieszono u gwiazd
promień na dwoje przełamią,
jeden dadzą mnie, drugi tobie,
jak skrzydła u ramion.
Śpij mały, śpij maleńki!

Z za wału burych chmur
wyskoczą śnieżne smoki,
przepłyną niebem jak u burt
delfina długim skokiem.
Śpij mały, śpij maleńki!

Gwiazdy się zmieniają w napój
i skryształą w słodziutki sen,
śpij mały, śpij maleńki,
odgradzę od ciebie lęk.

Jan Bolesław Ozóg

P O L E G Ł Y

...Umilkł — i śpiewa pieśń grudy w dali —
i wiatr przytłumił ostatnie jęki.
Została dusza z kawałka stali,
Wiara — i granat u prawej ręki.

I granat ten tu z piekielnej matni
przez bunkry, rowy i pola żyzne
mierzył stąd będzie po kres ostatni
w Niemca, co ubił jego ojczyznę.

Lucja Cybichowska

M A D O N N A

W dziejowe ludów przedwiośnie
Gdy pękła germańska nawała,
Zapora sinego Renu
Ostatnia wciąż jeszcze trwała

Raz, gdy o świcie nad Renem
Stanęły alianckie wojska,
Wraz z zorzą na most pod Remagen
Spłynęła Matka Boska.

Nie bójcie się, Jimmy, Johnny.
Droga przed wami otwarta,
Na moście pod Remagen
Ja Sama trzymam wartę.

Spójrzcie, to nie jest jutrzienka,
To płaszcz Mój kwitnie płomieniem,
Zasłonię was tym płaszczem
I archanioła ramieniem.

Tak stała Najświętsza Panienska
Od świtu aż do wieczora,
Przeszli przez most pod Remagen
I padła Renu zapora.

Lecz dotąd ciągle jeszcze
Nie wiedzą mężowie stanu,
Dlaczego tam pod Remagen
Tak nagle pękł miecz Wotana.

Bo dla nich nie nadawano
Niebiańskiej telewizji,
Bo oni twierdzili swoje:
Tyle a tyle dywizji...

Tylko piechur Joe O'Connor,
Tylko lotnik Pat O'Neill
W ten Boży ranek dostrzegli
Anielskich skrzydeł biel.

I tylko matki sieroce
Czuły Wotana klęskę —
Widziały most pod Remagen
I Matkę Boską Zwycięską.

Zdzisław Słowiński

Pierwszy strzał

Dzień był zwykły. Pierwszy sierpnia. Wtorek.
Krakowskie tłamsiły czołgów gąsienice.
Głośniejszy, niż zawsze, biło serce chcre,
wyraźniej tętniło podziemne życie.

Myślałem: czy się zacznie? — czy — naprawdę —
dzisiaj?...

Pistolet miałem w ręku, lżą oczy zamglone.
Nikt mi nie odpowiedział. Cztery ściany. Cisza —
i szybki tupot gońców na dole pod oknem.

Granat w kieszeni parzył. Skurcz serca bolesny —
a jeśli nic nie będzie? — za piętnaście piąta...
Nagle — głośniejszy, potężniejszy od powstańczej pieśni
gruchnął strzał — ulicą biegła linia frontu.

Walenty Majdański

Czwarta wojna światową szaleje!

Kilka słów wstępu.

Upprzedzam łaskawego czytelnika, że to, co tu niżej będzie, to fikcja, gra wyobraźni. Obrazek literacki. Natomiast jedno w tym obrazku będzie prawdziwe: liczby. Nie poddawajmy się więc sugestiom. Trzymajmy się mocno!

Co słychać na cudownym miejscu?

Skąd wracasz?

— Z pielgrzymki.

— No i co słychać w cudownym miejscu?

— Tuż obok kościoła jest dom. Dom kościelny. Otóż w tym domu kościelnym ma obecnie siedzibę szpital ginekologiczno-położniczy. Mówiono mi „na ucho“, że morduje się tam nienarodzone dzieci. Służba wylewa ciała dzieci na ogród, po którym biegają świnię szpitalne, i te świnię żrą te ciała. Tuż pod kościołem. W domu kościelnym. Może powiesz, to to lekarze zabijają dzieci nienarodzone — zgodnie z artykułem 233 Polskiego Kodeksu Karnego, wydanego w r. 1932 przez rządy sanacyjne?

— Mój drogi, każde sztuczne poronienie jest morderstwem, czy to dokonane zgodnie z Kodeksem, czy też nie, bo zabijany jest niewinny i bezbronny człowiek: dziecko w łonie matki. Nie o to chodzi, by nam mordowano dzieci zgodnie z Kodeksem, lecz o to, by nie zabijano żadnego dziecka polskiego. Naród polski znajduje się dziś w szczególnym położeniu. Każde dziecko polskie to skarb. Sanacja pozwalała sobie na rzeź dzieci polskich, po tak strasliwym upuszczeniu krwi polskiej, czy my mamy dalej na to pozwalać?

— Ale czy sprawdziłeś te wiadomości?

— Nie sprawdzałem, bo i jak je sprawdzić? Lekarza mam pytać, czy morduje? Nie przyzna się, jeżeli to robi! Służbę pytać — też nie powie. Pytać kobiety, które tam przychodzą zabijać swe dzieci, też nie powie. Więc kto powie?... Słyszałem. Zresztą, czy istnieje procedura, bym ja, człowiek prywatny, mógł to sprawdzić?

— To dlaczego powtarzasz

— Ludzie o tym mówią... A ty pytasz, co słychać, więc ci odpowiadam.

— Tak, ale tu chodzi o dobre imię lekarzy!

— Rozumiem, lecz chodzi o dzieci, a te są mordowane. To jest fakt bezsporny. Wysoki urzędnik Opieki Społecznej J. Bujalski obliczył, że w roku 1934-35 było w naszych szpitalach 53.028 porodów i 33.571 poronień. Jednocześnie w tymże roku we wszystkich zakładach leczniczych polskich umarło 35.275 chorych na wszystkie choroby razem. Czyli śmiertelność szpitali podniosła się przez dzieciobójstwa o 100% A czy nie wiesz, że w r. 1938 obliczano, że zabito 100.000 do 130.000 dzieci nienarodzonych w Polsce. Od tego czasu liczba ta stale rośnie. Ile dziś wynosi? 200.000? 300.000? 400.000 rocznie? Któż to bada? Kto to oblicza? Wiemy tylko, że od r. 1937 10.000.000 ludności miejskiej wymierało. A tak, jak jest obecnie, nasza wieś nie będzie miała tyle ludności, ile ma jej teraz.

Mieliśmy przed wojną 36 mil. ludzi, dziś mamy około 22. Po lewej i prawej stronie granic naszej Ojczyzny rodziło się przed wojną 5 mil. dzieci, u nas zaś za ledwie około 800.000 rocznie i to z roku na rok mniej. Z kim pójdziemy w przyszłości na Niemca, mając bzdurne kilkanaście milionów ludzi, gdy Niemców jest sześćdziesiątkilkę milionów? A czy wiesz, że w roku 1944 przed powstaniem warszawskim pewna lekarka—Polka z okazji zabicia 2000-go dziecka urządziła bankiet? Podczas powstania Himmler wyskrobywał Warszawę z ludzi i z domów, a lekarze warszawscy wyskrobywali Polki z dzieci. Himmler i lekarze warszawscy, to była spółka!

Wiem coś o tym. Spotykam niedawno jednego takiego i mówię: „panie doktorze, na miłość Boską nie zabijaj pan dzieci!“ A ten się śmieje i powiada: „Ginekolog, co tego nie robi, z głodu by umarł.

Ja to zrobię „fachowo“. Jeżeli ja tego nie zrobię, uda się kobieta do akuszarki. Akuszarki to dla nas konkurencja. One nam chleb odbierają. Zresztą g... panu do tego, co robią lekarze!“ — Musimy dbać o dobre imię lekarzy, a z drugiej strony musimy dbać o dzieci. Musimy nawet bardziej dbać o dzieci niż o lekarzy. Ze strachu, aby nie obrazić tego lub owego lekarza, nie możemy nadal milczeć, gdy mordują nam 200.000, 300.000, czy nawet 400.000 dzieci rocznie. Jak więc pogodzić dobre imię lekarza — z dobrem dziecka? Jeżeli masz sposób, mów! Ja gotów jestem przeprosić i owych lekarzy ze szpitala w domu kościelnym, gdyby się okazało, że nie mordują dzieci. Zrozumiem, nie chcę oczerniać. Chcę dobra dzieci. Ale właśnie dlatego nie mogę milczeć. Z obawy, by czasem źle nie zrobić, nie mogę... nie nie robić. Chodzi poza tym jeszcze o jedno: by ludzie dbający o dobro publicznie przez swoją obawę i przez swe odwoływania nie stwierdzali publicznie, że wszystko jest w porządku tam, gdzie w rzeczywistości popełnia się zbrodnie. Porządny, milujący prawdę człowiek, nie może oznaczać tyle, co naiwny. Bo przecież setki tysięcy dzieci polskich zabijanych co roku, to fakt. I czyżby ten fakt... nigdzie przez nikogo nie był dokonywany? Odpowiedź!

— Patrz, idzie inż. Henryk. Może on nam co doradzi.

Trójka radzi.

— Sprawa, o której rozmawiacie? Hm... Dodam do tego swoje niedawne doświadczenia. — W naszym miasteczku są tylko dwie parafie. Jedną parafię jest św. Rodziny. I w tej akurat parafii jest akuszarka. Do tego czasu zabijała dzieci nienarodzone i wrzucała do ustępu. Poszedłem do gospodarza domu. Zabronił jej tego. Odtąd pali dzieci w piecu u siebie w domu. Ostatnio „zoperowała“ pięciomiesięczne dziecko i spaliła. Zupełnie jak w Oświęcimiu.

— I cóż ty na to?

— Cóż, my Polacy od dwustu lat reagujemy na zło tylko na dwu terenach: politycznym i wojskowym. A więc reagujemy tylko środkami politycznymi i wojskowymi. Nie umiemy natomiast reagować na terenach pozawojskowych i pozapolitycznych. A to jest olbrzymi teren. Nie umiemy tam stwarzać świadomości innej rzeczywistości. Na owych terenach zachowujemy się jak tchórze, jak kanalie, jak głupcy. Powiem wam o takim zdarzeniu. W naszym miasteczku jest szpital. Różną w nim dzieci na potęgę. Ile ich się zabija, Bóg raczy wiedzieć. Idę do prałata i mówię: Trzeba interweniować, samo gadanie o ślubach cywilnych, to mało. Katolicy w Polsce zarzynają Kościołowi 200.000, 300.000 dzieci. Co roku. Prałat poszedł do szpitala, wpierw się pytał innych lekarzy, czy to prawda, co mówią ludzie o tym, co się dzieje w szpitalu. Ci powiedzieli, że lekarze szpitalni przecież się modlą, że ślub nawet jeden ma wziąć w kościele. Jednak poszedł. Ósmego grudnia. Lekarze mu ołtarzyk kazali w szpitalu zmaistrować. Mszę tam odprawił. O świętości macierzyństwa od ołtarza powiedział. Lekarze klęczeli podczas Mszy. Potem obszedł chore kobiety, żadna z tych, co przyszły na poronienie, oczywiście mu tego nie powiedziała. Wreszcie pocziwina prałat opuścił szpital. Lekarze wtedy zrobili herbatkę z wódeczką, popili, zabawili się z personelem, no i dalej... różną dzieci.

Tak, jak u nas w Polsce, jest dziś na całym świecie. Mała Belgia np. mordowała przed wojną 259.000 dzieci rocznie, Francja 500.000, Stany Zjednoczone 3.000.000. I tak dalej. Istnieją obliczenia, szacujące liczbę zabijanych dzieci wśród narodów pochodzenia europejskiego na 6 do 8 milionów rocznie, może nawet więcej. Liczby te raczej z roku na rok rosną. Jest to prawdziwa wojna przeciw dzieciom. Trwa ona nadal, mimo zakończenia drugiej wojny światowej. Ludziska dziś się trwożą, czy będzie trzecia wojna światowa, a tymczasem miliony dzieci morduje się na całym globie: to szaleje „czwarta wojna światowa“. I cóż z tego,

że dorośli z dorosłymi przestali nareszcie bić się po sześciu latach wojny światowej, kiedy rodzice wraz z lekarzami nie przestali zabijać milionów dzieci co roku!

I czemuż to o tej najbardziej zbrodniczej wojnie milczą humanitarne masony anglosaskie? Czemu milczy Organizacja Zjednoczonych Narodów? Czemu do walki z barbarzyństwem dzieciobójstwa nie powstają wszystkie Czerwone Krzyże całego świata z Genewą na czele? Czemu milczy o tym... nasz Polski Czerwony Krzyż, urzędujący w Domu Katolickim? A czy zasługuje kto na większą obronę i litość niż dziecko w łonie matki? Czy jest ktoś z ludzi bardziej niewinny, bezbronny? Czy i w tym miesiącu muszą być zamordowane tysiące dzieci polskich? A w tym roku — setki tysięcy? Kto narodził polskiemu nakazuje ten kontyngent masowych zbrodni, dokonywanych na własnych dzieciach? Czy istotnie nie ma na to lekarstwa? Choćby walki przeciw „czwartej wojnie światowej“ nikt nie podejmował na całej kuli ziemskiej, my Polacy musimy ją podjąć. Walki — z najczarniejszym zjawiskiem w życiu narodu. Po stosunku do dziecka poznaje się dziś, czy naród chce żyć i na ile chce żyć. I mądrość narodu poznaje się dziś po stosunku do dziecka. Chodzi o nasze być, albo nie być. Chodzi o wszystko.

Rozmowa po drodze.

I udali się, by zacząć szalone przedsięwzięcie. By reagować. Spotkał ich po drodze sędzia.

— Dokąd idziecie?

— Ratować 300.000 dzieci polskich od zabicia.

— Nic nie zrobicie.

— Idziemy do biskupów i księży.

— Księża pogadają na ambonie. Ale nigdzie nie pójda walczyć, ponosić ofiary. Nie udadzą się do lekarzy, do szpitali, do akuszerek, do żadnego małżeństwa nie pójda, które zabija dzieci; do żadnego prokuratora, sędziego śledczego, pracownika szpitalnego, do żadnej w tej sprawie milicji, bezpieczeństwa. Innymi słowy, będą „się dekwali“: nie pójda na front. Na front dziecka. Pogadają i usną.

— My udamy się do tych, którzy pójda. Którzy pójda wszędzie. Mamy takich księży. Liczymy na nich. A także pójdziemy do lekarzy.

— Cooo?!... Ich obchodzi „forsa“, a nie człowiek.

— Pójdziemy tylko do tych, co ich obchodzi człowiek. Jest trochę takich lekarzy. Liczymy na tych lekarzy. Pójdziemy wszędzie, do szpitali, klinik, poradni. Spejnetrujemy tam stosunek do dziecka. Będziemy tam mówili do kobiet chorych na ubój dzieci i do lekarzy chorych na dzieciobójstwo. Będziemy podburzali personel szpitalny do walki na noże z lekarzami — dzieciobójcami. Będziemy mówili tam o chrzcie dzieci nienarodzonych. Będziemy tam zbierali szczątki dzieci pomordowanych. Założymy ołtarze dla tych dzieci na placach publicznych i tam te szczątki będziemy chowali. Pójdziemy na wydziały medyczne, by mobilizować akademicką młodzież medyczną do walki o życie dziecka i o Przyszłość Polskę.

— A może do zakonów pójdziecie? Do zakonnic?

— Pójdziemy. I pomożemy im zakładać szpitale dla kobiet w stanie poważnym. I pomożemy im zakładać szkoły pielęgniarek — zakonnic, akuszerek — zakonnic. Pomożemy zakładać wyższe szkoły medyczne, kształcące zdrowy personel lekarski dla szpitali, klinik, poradni, ambulatoriów, dla sanatoriów, gdzie będą przebywały matki — gruźliczki. Pozakładamy swoje wyższe szkoły farmaceutyki, swoje apteki. My już widzimy, proszę pa. na, całkiem nowe zakony męskie i żeńskie, zakony lekarzy i lekarek, zakony pielęgniarzy i pielęgniarek: wszystko w służbie dziecka polskiego, narodzonego, a zwłaszcza spoczywającego w łonie matki. Bo to właśnie dziecko nienarodzone, które nie tylko, że mało kto bierze je dziś w opiekę, ale wielu radzi zabić, my

wźmiemy w szczególną opiekę. Temu dziecku dziś grożą największe niebezpieczeństwa. Idziemy tym zakonom służyć lub powstanie ich zapoczątkować. Trafimy do każdego domu, gdzie się dzieci zabija. I do każdego lekarza pójdziemy, co dzieci zabija, do niego do domu. By go nawrócić. I do każdej akuszarki — dzieciobójczyni pójdziemy, by ją nawrócić. Bo wierzymy w człowieka. I w pomoc Bożą. A gdy nie dadzą się dzisiejsi zbrodniarze nawrócić, spokoju im nie damy. I aż do czasu, nim ich nawrócimy, nie damy im spokoju.

— Oni wam powiedzą, że działają zgodnie z artykułem 233-cim Kodeksu Karnego. Zawsze się wytłumaczą. Ja ich znam. Nad nimi jest niemożliwa żadna kontrola. Nie dacie z nimi rady

— Panie sędzio, my zrobimy także poruszenie w narodzie, że barbarzyński, sanacyjny, antydziecięcy i antypolski artykuł 233 pójdzie do kąta. A lekarzom o złej woli procesy wytaczają będziemy. I akuszerkom. Publicznie o nich mówić będziemy. I pisać. Ich nazwiska publicznie podawać będziemy i pisać je będziemy na parkanach i na placach. Ogłaszać je w gazetach.

— Skąd weźmiecie ludzi do tego?

— Zmobilizujemy wszystkie dziewczęta polskie. Właśnie w służbie matce ciężarnej, w służbie matce mającej maleństwo — zaprawiać się one będą do Służby Społecznej Kobiet. Wierzymy w idealizm dziewcząt polskich. Skrzykniami poza tym na pomoc cały ideowy odłam świata lekarskiego, pielęgniarskiego, ideową część zakonów, kapłanów. My w każdym dziecku polskim widzimy Przyszłość Polskę. I tą naszą postawą zarazimy cały naród, każde małżeństwo. Zorganizujemy wydawnictwa specjalne. Zasypimy nimi rodziny. Lecz nade wszystko zasilimy ubogie rodziny wielodzietne i matkę ubogą a ciężarną — swą pomocą, naród zaś napędzimy ogniem walki z dzisiejszą rzezią dzieci. Rozpętamy miłosierdzie w stosunku do dziecka polskiego w skali nieznanej dotąd światu.

I poszli. Działali. Ratowali po 300.000 dzieci polskich co roku. A potem poszli na cały świat. I oni to, Polacy, ich gromadka, Armia Zbawienia Polski, oni to właśnie w końcu również doprowadzili do pokoju świata. Nie Zjednoczenia Narodów, ale oni, Polska. Bo cóż jest najgorszego w wojnie: rany, śmierć? Nie, lecz chamski, zbójceki stosunek do człowieka. Cham podlizuje się jak pies, gdy ma człowieka mocniejszego przed sobą. I traktuje człowieka jak psa, gdy ma słabszego człowieka przed sobą. A któż jest słabszy i bardziej bezbronny niż dziecko spoczywające pod sercem matki? Darzy ono pełnym zaufaniem swą matkę. I obdarza pełnym zaufaniem dłoń lekarza, gdy te do niego się zbliżają. I ma do tego pełne prawo. Ale myli się, gdy matka ma instynkty gestapowskie i gdy lekarz ma instynkty zbójcekie: zabijają dziecinę, by sobie poprawić byt... Zbój zabija takie dziecko i następnie robi propagandę, że uczynił to... dla dobra dziecka, dla... dobra matki, dla... dobra społeczeństwa, dla... dobra rasy. A on tymczasem zabił dziecko, bo nie ma ono kłów, ani pazurów, nie spuszcza bomby atomowej na łeb zwyrodniałym rodzicom i zwyrodniałemu lekarzowi. Otóż po stosunku do dziecka poznajemy w naszych czasach, kto jest chamelem, w kim drzemia instynkty zbójcekie; te same instynkty, które wywołują wojny. To też, gdy ten stosunek do dziecka nienarodzonego uczyniono wreszcie na całym świecie słusznym, wyschły wśród ludów na całym świecie źródła wojen. Jednocześnie wymierająca Francja, Anglia, Skandynawia i Stany Zjednoczone zakwitły na nowo dziećmi, a świat — pokojem. I przyszedł też wtedy pokój dla Polski. Do Polski Kwitnącej Dziećmi.

Dzisiaj i Jutro.

Nowelka nasza skończona. Upprzedzam Cię, Łaskawy Czytelniku, że to, co tu było, to fikcja, gra wyobraźni. Jedno tylko w tym obrazku literackim było prawdziwe: liczby. Poza tym... świnię jedzą dzieci polskie — w naszych szpitalach, czyli tam, gdzie życie dziecka powinno się bronić do ostatniego tchu.

Świnię jedzą dzieci polskie i to jest nasza „dziś“. A że dzieci, to przyszłość: więc świnię nas zjedzą. To „jutro“!

Jan Ogień

SOCJOLOGIA SZABRU

Szaber. Aż dziwne! Tylu marksistów — ani jednej socjologicznej oceny zjawiska. Zawsze o nim z pogardą, a to nie wystarczy. Z wyrazów oburzenia, wynika tylko nuda. Wiedzieć trzeba, zanim się znacznie przeklinać.

Bądźmy szczerzy. Mamy do czynienia z faktem społecznym. Modny proceder czeka na modne ujęcie. Dojrzeć do monografii. Zasluguje na to, aby zostać „ekonomicznie uwarunkowany”. Któż chce odmówić popularnemu zjawisku „socjalnej bazy” i analizy klasowej? Gdy biegli w piśmie milczą, wypada ich zastąpić (Jest to bądź co bądź walka z reakcją na froncie gospodarczym!).

Daleko nam jeszcze do naukowego ujęcia tych spraw.

Przygotowując materiał, ograniczymy się do kilku prostych obserwacji. Każdy skandal posiada dziś tło historyczne. Ten jest epide-

Spróbujmy nakreślić jej ramy. Wielka własność została upaństwowiona. W psychice ludzi obarczonych kompleksem prywatnego stanu posiadania, konsekwencje wystąpiły zaraz. Każdy sądzi, że mowa tu o właścicielach. Nie! Chodzi o inną kategorię osób. Ci co stali się dotychczas przy wielkich obiektach, przywykli kojarzyć pojęcie własności z wyobrażeniem konkretnej osoby, która nią dysponuje i rządzi. O nich tutaj myślę: O pracownikach i nadzorcach odpowiedzialnych za całość warsztatu produkcji. W ich oczach wartość najcenniejszą zespółona była z myśleniem personalistycznym. Nagle to się zmieniło. Nastąpił proces uogólnienia treści indywidualnych. Zwierzchnictwo ludzkie zatraciło swą bezpośrednią widzialność. Własność, w toku ewolucji, nabrała cech anonimowych, przywiązana została do państwa. Państwo w psychice prostego człowieka ma w sobie zawsze coś z urzędowego symbolu, nie jest ono całkowicie dostępne jego wyobraźni w swej zasadniczej ośmowicie. Z chwilą, gdy własność oderwana zostaje od osobowego podłoża, natychmiast obrasta w abstrakcję, staje się jakoby — niczym, oczywiście w instynktowym czysto pojmowaniu ludzi, dla których pojęcia ogólne jeszcze są pojęciami pustymi.

W trakcie wojennych przemian sytuacyjno-ustrojowych, zawsze przychodzi taki moment, kiedy wszystko należy do wszystkich, dzięki czemu prawie wszyscy — uginają się pod ciężarem... doraźnie „zabezpieczonych wartości”. Jest to tak zwana faza upojenia, euforia złodziejska w glorii mściwego odwetu. W związku z nią pozostaje żywiłowe w istocie zbliżenie człowieka do wyzwolonych spod ochrony — rzeczy. Rozmaite przedmioty wyzbyte właścicieli czy mocodawców pierwotnych, zostają porwane przez tłum i w pewnym momencie każdy z pośród zdobywców ma więcej niż może bezkarnie przechować. Atmosfera zazdrośnych podejrzeń i groźba denuncjacji ze strony pokrzywdzonych sprawia, że tysiące ludzi pozbywa się zrabowanych towarów szybciej niżby im z kalkulacji własnej wypadało. Wskutek tego znaczne ilości dóbr wszelkiego rodzaju, wprowadzone zostają w handlowy układ krążenia i one to właśnie z kolei, mobilizują nowe rzesze chętnych pośredników, którzy z bliskawiczną szybkością podbijają i tak już dość wysokie ceny.

Fakt, że towary będące w obiegu żywią po drodze cały szereg sprzedających je kolejno osób, nie usprawiedliwia oczywiście konieczności istnienia takiego łańcucha. Świadczy on tylko o jednym. Gdyby podobnych funkcji gospodarczych w okresie przejściowym nie było (albo być nie mogło), jeszcze większe rzesze musiałoby uznać typ vegetacji urzędniczej za jedynie możliwy, właściwy i dominujący, co byłoby katastrofalne z punktu widzenia aktywności twórczej. Z dwójga złego, wolimy przeciw ludzi, którzy w trudnych warunkach umieją sobie radzić bez odwoływania się do pomocy głodowych biurokratycznych instancji. Wyznawcy światopoglądu emerytalnego są naturalnie potrzebni, ale ich prężność biologiczna wyczerpująca się w tęsknocie do unormowanych sum i godzin pracy — ona właśnie jest dla nas dzisiaj synonimem postawy minimalisty-

cznej. Ciężenie w stronę życiowych schematów nie może być ideałem. Wszędzie tam, gdzie przepisowa rutyna wyprzeć usiłuje energię i pomysłowość indywidualną, następuje proces zwapnienia organizmów i organizacji. Ludzie usypiający w toku sklerozy otocznej wiedzą, że istotna wymiana wartości odbywa się poza aparaturą, która ich zatrudnia, mimo to jednak utrata związku z rzeczywistością postępuje naprzód.

Chcemy być dobrze zrozumiani. Nie piszemy apoteozy handlującego pokątnie spryciarza. Chcemy tylko stwierdzić, że z wielu takich kupieckich i korsarskich manii, narodziły się... kolonialne imperia. „Szabrownicy” zawsze towarzyszyli pionierom, administracja przyjeżdżała później, bityfikując już istniejący stan rzeczy.

Biurokracja nie robi historii, ona dopiero post factum ją organizuje. Gatunek witalności reprezentowany przez nią jest słabszy, jest wtórny. Bergson powiedziałaby, że zakres działania warstwy urzędniczej, odpowiada ściśle zniemczeniu kosztowności procesów życiowych. Zadaniem naszej epoki będzie wykazanie, w jaki sposób żywy społeczny organizm, zabijany zostaje przez organizację, z góry narzucającą mu formy coraz bardziej sztywnego istnienia. Stwierdziliśmy, jak sądzą, zgodnie z doświadczeniem, iż proceder przyjmowania wielkiej własności przez państwo — już w swoim wstępnym i pierwotnym stadium wyzwala milionową falę usiłowań o charakterze czysto indywidualnym. Konflikt myślenia personalistycznego z myśleniem, które uogólnia i schematyzuje, jest nieunikniony, ponieważ ludzie zmieniają się wolniej od ustrojów, zdolnych zaspokoić ich potrzeby dopiero w dalekiej przyszłości. Na razie, każdy próbuje myśleć o sobie, w związku z czym, doktryna rewolucyjna w wielu krajach rozpoczyna walkę ze zbiorowym instynktem samozachowawczym.

Tak więc chirurgiczny zabieg, polegający na odcięciu wielkiej burżuazji od jej baz życiowych, automatycznie pociąga za sobą mobilizację chęciwości zubożonego drobnomieszczanstwa i proletariatu. Hydra, której ucięto łeb u góry, przybiera na sile u dołu, gdzie ilość głów jej dosłownie urasta w miliony. Indywidualistyczny sposób pojmowania własności, odziedziczony w bezpośrednim spadku po bohaterach ery kapitalistycznej, zaczyna się odradzać na innej kondygnacji społecznej.

Wtedy wychodzi na jaw, do jakiego stopnia, najbardziej warstwy zasugerowane są typowo materialistycznym i dziewiętnastowiecznym mitem szybkiego bogacenia się rzutkich lub niemoralnych jednostek. Tak zwana dialektyka zjawiska pozwala na sformułowanie prawa, z którego wynika, że klasa zwycięska, w znacznej mierze przyswaja sobie psychologiczne narowy klasy zwyciężonej, w związku z czym, następuje wewnętrzne rozszczepienie w jej (rewolucyjnym) łonie.

Wtedy przychodzi najtrudniejszy moment. Oto do obiektów strzeżonych przez zespół fernalski lub zespół fabryczny, zbliża się grupa mniej lub więcej fachowo wyszkolonych urzędników, aby przekazując je w zarząd państwowy. Niewtajemniczeni przychodzą do wtajemniczonych, nie wiedzą gdzie co jest i w porozumieniu z nimi, muszą dopiero zdobywać elementy potrzebne do orientacji w świeżo poznany teren. Przedstawiciele władzy bardzo często okazują się w podobnych razach, uczniami ludzi, na których informacje są w praktyce skazani.

Co było, to zwykle trudno stwierdzić. Stan pierwotny wymyka się obliczeniom. Jedno zabrali Niemcy, drugie maruderzy, trzecie... rozkradł element miejscowy. Okres euforii rewolucyjno wojennej, wiele szczegółów przesłania. Na miejscu zastaje się zwykle przeraźliwe braki. Ostatecznie dwa gatunki politycznych biedaków spotykają się w obliczu mniej lub więcej uszczuplonego bogactwa. Jeśli przy tej okazji, nie zawiązuje się spółka, oparta na ścisłej dyskrecji i chęci wspólnego eksploatowania pozostałych dóbr, państwo może powiedzieć, że ludzie z nim związani zdali najcięższy egzamin.

Kto może wyjść cało z ogniowej próby moralnej? Człowiek, którego dochody nie są wyłącznie związane z dozorowanym obiektem. Cała trudność polega na tym, że element najlepiej wyszkolony ideologicznie, nie zawsze jest elementem fachowym, gdyż łatwiej dziś złożyć dowody wierności w obliczu modnych doktryn, niż uzyskać dyplom inżyniera albo agronoma.

Tak więc, w życiu gospodarczym na każdym kroku krzyżują się i spotykają fachowcy o nastawieniu wyłącznie praktycznym, z osobnikami, którzy są „pewni” tak długo, dopóki nie wykażą braku kompetencji w obcej dla nich zupełnie dziedzinie tworzenia realnych wartości. W Polsce, gdzie życie polityczne przez dziesiątki lat wchłaniało elementy nigdzie indziej praktycznie nie przydatne a wypływające jedynie na falach koniunktury i frazeologii, współistnienie tych dwóch całkowicie odrębnych żywiołów stało się bardzo wyraźne. Przy tej okazji coraz częściej wychodzi na jaw, że gdyby życie społeczno-gospodarcze w całości powierzone zostało opiece rzeczoznawców danych gałęzi produkcji, nikt prócz garstki zawodowych polityków nie by na tym właściwie nie stracił. **Przeżyjemy krwawy schyłek wszelkiego rodzaju dyktantyzmów ideologicznych**, które bez przerwy karmią nas ogólnikami, nie są w stanie wykazać obywatelnej sprawności w obliczu najprostszych zagadnień.

Powiedzieliśmy, że indywidualistyczny sposób pojmowania własności, odziedziczony w spadku po heroldach epoki kapitalistycznej, tak dalece rozpowszechnił się w szerokich masach, że każda próba przezwyciężenia owej psychozy mieszczańskiej, napotyka na jakiś bierny opór. Doświadczenie coraz częściej mówi, że **samo przekształcenie formy ustrojowej w niczym nie zmienia wewnętrznej struktury ustroju**, będącego funkcją panującej postawy moralnej, a nie rezultatem mechanicznego przeobrażenia schematów.

Jeśli nawet obrotowy kapitał spółdzielni czy instytucji państwowej może „w wolnych chwilach” pomnażać prywatny stan posiadania osób, które nim „kręcą” u góry, to jest to najlepszy dowód bezsilności zmian powierzchownych, słabszych niż ludzka natura. Hedonizm, tkwiący u podstaw każdej konsekwentnej etyki materialistycznej, nie posiada racji dość mocnych, aby procesy podobne bez pomocy sądów doraźnych powstrzymać.

Mit o pracy dla przyszłych pokoleń u przyjemnia nędzę ludziom wyjątkowym, lecz ogół bywa cyniczny, albo zgola wdrożony do życia pod ciśnieniem strachu.

Robotnicy od lat związani z danym warsztatem produkcji, traktują przybyśków z zewnątrz jak intruzów, którzy się po ich macierzystym terenie „pętają” często bez zielonego pojęcia o rzeczy.

Tutaj znowu gromadziły zmysł kolektywne, instynktownie przeciwstawia się etatyzmowi, jako tej formie ustrojowej, która właściwie wyzuwa pracujących z bezpośredniego tytułu własności, na rzecz

biurokracji centralnej. Tymczasem jest tak, że warstwy ludowe nie upaństwowienia, lecz uspołecznienia, ze wszystkich sił swoich pragną i żądają, a ponieważ obie te możliwości bliskie są intencjom rządu, tę drugą spośród nich specjalnie akcentować trzeba. Robotnik chce być istotnym współwłaścicielem i akcjonariuszem obsługiwanej przez siebie obiektu, nie odpowiada mu bowiem żaden totalistyczny w istocie etatyzm, który jest organizacją nędzy wyjątkowej dla „szczęścia przyszłych pokoleń”. Masy coraz gwałtowniej wysuwają hasło rzeczywistego upowszechnienia własności. Tylko jego realizacja może skutecznie zapobiec grabieży dobra publicznego. Swojej istotnej własności, żaden zespół roboczy sprzedawać ani kraść nie będzie. Na innej drodze bezpłodnie okazać się muszą wysiłki elit urzędniczych, zawiedzie planowanie z góry, jedynie coraz gęstsza sieć samorządów społeczno-gospodarczych, może zlikwidować polipa biurokratycznego, on bowiem pomnaża jedynie szeregi nędzarzy zmuszonych żyć własnym przemysłem, pod osłoną sprawowanej władzy.

Oto na jakim podłożu rzeczowym rozwinął się szaber.

Nie wyczerpaliśmy jeszcze istoty zjawiska. Dojrzeć w nim tylko ferment kompleksów drobnomieszczzańskich i psychologiczny spadek rabunkowej gospodarki kapitalistycznej, to byłoby oczywiście za mało.

Z drugiej strony fakt masowego wyprzedawania się Niemców znacznie powiększył (bynajmniej nie złodziejską) skalę istniejących obrotów handlowych. Ubrania i futra, kupowane u wielu za bezcen, stanowiły dotąd poważne źródło dochodu dla ludności przewożącej tę garderobę do innych dzielnic kraju. Stąd też przekonanie, że z zachodu jadą głównie przedmioty kradzione, opiera się na krzywdzącym nieporozumieniu. Ogromną ilość ludzi powracających z obozów, ten najzupełniej legalny proceder, zdołał w pierwszej fazie utrzymać przy życiu.

Gdy mówią nam o wzroście przestępczości, wiemy, że przestępczość jest zjawiskiem, w obliczu którego śmieszna i beznadziejna byłaby chęć podjęcia walki z samymi tylko skutkami procesów, socjologicznie uwarunkowanych nędzą. Najważniejszym zadaniem państwa jest dać obywatelowi nieporozumieniu, a nie teoretyczną szansę legalnego utrzymania się przy życiu. Dopóki to nie nastąpi, walka aparatu władzy z przestępstwami płynącymi częściowo ze wzmoczonego ciśnienia instynktów samozachowawczych, na pewno nie przyniesie pełnych rezultatów.

Chociaż brzmi to bluźnierczo i wręcz paradoksalnie, bądźmy przekonani, że istniejąca drożyzna żywi dzisiaj wielu, którzy robią ją po to, by nie umrzeć z głodu. Trapi nas problem ludzi bez przydziału. Totalizm koszarował i zatrudniał gwałtem, demokracja ma szkolić i dźwigać. Jej misją jest rozwój powołań specjalnych i zapewnienie każdemu legalnej możliwości życia.

Może poprawa bytu urzędnika stanie się wreszcie zachętą dla wielu handlujących, którzy wierzą, że żadna posada nie zdoła ich wyżywić?

Klemens Oleksik

EGZEKUCJA

Na lufie zawieszona wieczność.
Czekaj na okrzyk krwi: Z piersi wybucha.
Ta ziemia, na której żandarm stoi
lasem stanęła na bacność
i — słuca.

kwitną róże na groby męczenników.
Radosne pszczoły (z narodzin nowej matki)
znoszą wosk na gromnice.
W otwarte nagle drzwi
ubogiej chaty
matka odpowie:
— na wieki wieków amen.
Powróci
serce wysłane na zwiady:
— to... Janek...

Echo z pod muru
obleci cały świat.
Naprzeciw
kulom bezbronna pierś.
Ci—cho! Pamiętaj:
Z tej ciszy narodzi się wiersz
i — zemsta.

1945 rok.

Jest on nietylko głupi, ale i chytry. Ofiarowuje bakałarzowi gąsiora za dobrą naukę dla syna. Obiecuje sobie, że zeń króla zrobią, alić po niedługim czasie dowiedziawszy się, że niczego jeszcze się nie nauczył, a w skórę dostał, zabiera go wielce oburzony.

„Ha, panie kamałarzu, to też być nie miało, a zacóż się tak wielkie gąsiorowisko dało?”

„Gęś — ci była, nie gąsior...“ — protestuje bakałarz. Wynika sprzeczka i zanosi się na bójkę, bo chłop gąsiora chce odebrać frantowi. Oczywiście daremnie.

Ogromnie zabawne jest intermedium „Rusticus incusat parentem Adam“, gdzie chłop wyrzeka na bezowocną pracę i biedę. Żona i dzieci jeść wołają, a wszystko przez to, że się Adam dał skusić Ewie. „Czy to trudno było słuchać przez godzinę?”

Patrzenie do jakiej nas ten Adam przywiodł szkody,

By było nawet Jewie wszystkie zęby wybić“.

Gdyby nie galanteria Adama, który tego nie uczynił

„Na piecu się było żyteczko rodziło... „a chłopci chodziliby codziennie do karczy“.

A otóż i szlachcicowi nie przepuścił humor sowizdrzański.

Na Biedaszkiewicz jestem panem i dzie-dzicem,

mam majątność Nędzarczów, mam drugie miasteczko,

Lichocice ja zowią, tuć to niedaleczko. Zacnym ja familiej, zacnych przodków wielu...“

przedstawia się bohater intermedium „Kuflewski i Moczygębski“, w którym autor maluje z zacięciem satyrycznym typ szlachcica: blagiera, opoja i snoba.

Niektóre postacie komiczne, jak choćby Kurołapski, wagabunda i głodomór, powtarzają się po wielu sztuczka.

Motyw jedzenia jest w literaturze sowizdrzańskiej bardzo doniosły, co świadczy wyraźnie o zbrataniu się autorów z głodem. Łakomstwo i głód wywiodły z fantazji włóczęgi Słowizdrzała pantagrueliczne marzenia o krajach, gdzie pieczone woły z wbitymi widelcami chodzą po łąkach, dachy kryte są kołaczkami, a domy kiełbasami grodzone.

Zato tematy erotyczne pozostały niemal że obce ludowej scenie.

W jednym tylko ze znanych zabytków występują dwaj chłopcy: kochliwy Niwartowski i Przyjemdurski i marzą o pannach, uściskach i całuskach. To też rola kobiety w teatrze ludowym w XVII wieku jest minimalna. Pojawia się w jakimś intermedium jako stara panna, która obarcza kłopotliwym darem swego serca niefortunnego obrońcę. Nieborak rycerskim duchem uniesiony uwolnił ją od niepożądanych zalotów chłopca, no i sam wpadł za to.

Zupełnie wyjątkowym jest pomysł humorystyczny człowieka-dębu.

Mimowoli przychodzi na myśl Balladyna, choć Słowacki z pewnością nie czytał tej farsy. W sztuce owej ówczesnej Grabiec Mario twierdzi dla żartu, że jest drzewem. Dla żartu również towarzysze jego udają, że uwierzyli. Zaczynają przeto rwć gałęzie z dębu, czyli poprostu bić go, a potem coś w nim wyrzeźbić. Ba, ale co właśnie? Mario chce być aniołem. Tak, ale na to pierwszej trzeba stać się człowiekiem twierdzą snyderze. Mario zgadza się, byle ten człowiek miał duży brzuch i pojemne gardło. Pośród wielu groteskowych ruchów rzeźba zostaje wykonana na scenie.

„Jest to — pisze Windakiewicz — jedyny czysto cyrkowy intermedium na niedorzecznych kłownoskich ruchach o-partie“.

Niezmiernie za to charakterystycznym jest w literaturze miasteczkańskiej motyw wędrówki. W „Acutus intermedii“ dwaj pokiereszowani dworzanie opowiadają swe dzieje. Pierwszy był w szkole. Rzucił ją, bo go znudziła. Chciał iść do kucniarza, ale że ten bił żonę, więc poszedł do cieśli. Tam przytknęło go drzewo. Udał się więc dalej do kołodzieja. Potem zajął się fachowo okradaniem chłopów i w tem jednak nie dopisało mu szczęście, go cepami obito.

Dworzan i życie dworskie wysmiewa sowizdrzał z całą znajomością rzeczy. W „Uciechach lepszych i pożyteczniejszych“ na temat stosunków dworskich plotkuje jakiś smakosz miejski i znawca przeróżnych dań. Są tam mrówcze kiełbasy, wie-

wiórczy ozór nadziewany, cielecy ryk do rosolu i nos Owidiusza z deklinacjami i koniugacjami. Aż przeciążony pracą i źle płatny kucharz odgraża się, że rzuci pana, ale jeszcze na koniec coś takiego zgoutuje:

„Będziesz biegał ze trzy dni na śmie-szną zabawę.

I pracce zadasz rozkosz, a mogę to snadnie nie dopiec, niedoważyć i coś wmieszać ładnie“.

Andrzej Jar-Górecki

Gdy Jerzy przyniósł radosną zapowiedź, zdawało się, że nie zdąży. Tylko trzy godziny czasu. Krótkie, poszarpane minuty, przelewające się gorączkową pracą. Zatłoczone odprawami, przerzutami broni i zadyszczanym biegiem kurierek. Ostatnie spostrzeżenia, uwagi i rady. Rozkazy ściśle i jasne. Synchronizacja czasu i przestrzeni. Posunięta, zda się do absurdu. Harmonia metrów i sekund, wykluczająca prawie możliwość przepadku. Wymierzona drobiazgowo i wyrafinowanie. Gdyż gra była wysoka. Stawką było życie. Nie tylko jedno — i nie tylko ich. I coś więcej jeszcze.

Cios musiał być druzgoczący i bezapelacyjny. Wycięstwo ich równie pełne, jak klęska tamtych. Jak dotychczas.

Polska Armia Podziemna przestała być mitem. Stawała się coraz głośniejszą uwerturą Wolności i Niepodległości. Była dumą i ukołaniem narodu. Hahn, Stamm i reszta arcyzbójców z Szucha wiedzieli o tym dawno. Gdy po raz pierwszy ujrzeni na specjalnej karcie Himmlera znak. Czerwonym krzyżykiem błyszczał punkt — Warschau. Ognisko buntów i niepokoju. Najkrnąbrniejsze miasto Europy. Ale dopiero tu, na miejscu w konsekwencji i brawurze chłopców, w ich pogardzie śmierci i umiłowaniu Ojczyzny właściwie oceniali rzeczywistość. Poczuli wątpliwość w celowość swej pracy i w możliwość ujarznienia tych „diabłów“. Wstydliwie z początku i bardzo intymnie. Jak wstydliwym i wzrastającym oblakaniem, był ich strach. Strach przed osobistą odpowiedzialnością za sadyzm swych praktyk. Wierzyli, że bezprzykładne wy-czyny tych „bandytów“ tworzą legendę, którą żyje naród. Legendę, którą już nie zagłuszą salwy plutonów egzekucyjnych, nie spalą piece krematoriów, które nie zdołają już wyrwać z serc tego dziwnego narodu.

O to walczyli chłopcy. Choć dziś, właśnie teraz, pragnęli walczyć tylko o jedno życie i jedną wolność...

Stach przyszedł zawczasem. Ciągłe się popędzał, żeby się nie spóźnić. Odetchnął z ulgą dopiero tu, na miejscu. Gdy wmieszał się w ten rozgorączkowany tłum, przelewający się w Bielańską i Długą. Tłum był jak olbrzymi wąż. Nigdy się nie kończący i stale ruchliwy. Gdzie oni się tak śpieszą? Czy ich też gnają obowiązki, równie imperatywne i nieodwołalne jak jego? Jego... Echo myśli zadźwięczało rezonansem serca. Rudy... Obrazami tamtych wspomnień przesunął się film.

Szkoła. Pierwsze miesiące gimnazjum. Pierwsze dwójki, guzy i wagary. Szczecińce, beztroskie lata. Już wtedy siedzieli na jednej ławce. Wymieniali znaczki pocztowe i chytre, życiowe uwagi. Potem zjawiała się łacina z „osłemi łączkami“ tłumaczeń, niedozwolony futbol i wstydliwie pierwszych randek. No i harcerska drużyna. Jednocześnie wstąpili do niej. Obóz nad jeziorami Trockimi. Pełen czarów przyrody, śpiewów przy wieczornych ogniskach i osiągnięć sprawności harcerskich. Koniec obozu. Powrót do domów, nasyconych upalnym słońcem lat i niespokojnymi myślami o wojnie.

Spotkali się dopiero w listopadzie. Po tym wrześniu, pełnym jęków, grzmotów i pożarów. Byli już mężczyznami. Znającymi cenę życia, wartość wolności i ukojenie śmierci. Oczywiście, brali udział w awanturze. Miał nawet znak na dłoni. Ślad po jakimś odprysku. Mało mówili o przeszłości. Była już wtedy dla nich taka odległa i bezbarwna. Życie przecież tak silnie pulsowało. Dokoła, wszędzie. W ogóle twczyło się nowe. W swych terminach i rzeczywistości. Rodziły się słowa

W beztroskiej, hulaszczym czasem sarkastycznej, a czasem ironicznej chęci pobudzania do śmiechu nie obmyślał sowizdrzał tematów i nie odtwarzał sztucznych sytuacji. Czasem poniesie go fantazja twórcza do krain wymyślonych, przez francuskiego mnicha Rabelais'ego, często z klechdy ludowej ściąga fantastyczne postacie aniołów i diabłów, przy czym ci ostatni wnoszą zawsze do sztuki element humoru, czasem używa nawet alegorii, ale najczęściej śmieje się z siebie, bliźnich i otoczenia.

Śmieje się do rozpuku, czasem rubasznie i złośliwie, jak umie, ale śmieje się serdecznie i to jest właśnie w nim najcenniejsze.

Śmieje się ze wszystkiego, z każdego przejawu obserwowanego życia. Ot nie podoba mu się moda trenów u sukien, więc woła złośliwie:

„Że i psom niepoślednia była stąd wy-goda, bo czyiż na ogony czego mówić szko-da“.

Hanna Jezierska

„DŁUGA“

pełne i ciężkie jak tomy i szczegółowe, a zawierające wszystko jak encyklopedie. Generalna Gubernia, okupant, Szucha, łapanka, buda i tyle, tyle innych. Mówili tylko o tym. Długo, porywczym i namiętym — jak młodzi. Tamto, życie z przed września, chwilowo mogło być tylko wspomnieniem. Jak szkoła, radio, czy stadion. Ale została drużyna. Uszczuplona liczbą tych, co odeszli, lecz pomnożona zapalem, chęcią czynu i ofiarnością pozostałych. I znowu zaczęło się od początku...

Pierwsze gazetki. Z początku na powielacu. Drzewny, pakowy papier i nieczytelny, stale zalewający go tusz. To był ewenement ich życia. Dreszcz nowej emocji i dziwna radość i duma. Przecież słyszeli Sprawie. Pracowali całymi dniami. Całą duszą. Ledwie starczyło czasu na konspiracyjne komplety. Gazetki były coraz lepsze, ale zostawili to młodszemu. Zjawili się naklejki, odezwy i plakaty. To była już poważniejsza robota. Później gęsto sypały się ulotki w kinach. Ogromnie było wesoło. „Tylko świnię siedzą w kinie“. „To było bycie“ — mawiali. I wreszcie pierwsza „karbidówka“. Emocja od razu skoczyła susem na skali ich przeżyć. Krew szkopów dawała namacalny dowód ich siły i satysfakcję wyrównywania rachunków. Potem poszło piorunem. Colt, FN, czy Mauser, pół roku lasu z Kb. i ukołane „kopyto“ — Sten.

Aż wreszcie ten podły, ponury dzień. Rudego schwyłali. Siedzi i jeszcze żyje. Iskierka nadziei, że może coś się uda. Tyle dni wszyscy żyli tą myślą. I dopiero dzisiaj...

Otrząsnął się ze wspomnień. Był już tylko dowódcą. Obchodził umówione punkty. Byli wszyscy. Jego chłopcy ze Słoniem. Wojtek ze swoimi, obławowani granatami. Po drugiej stronie spacerowali „butelki“ — jak ich dzisiaj nazywał. Benzyniarze. Grupa Stenistów oddawna już tkwiła w ruinach, koło Arsenau.

Dochodziła piąta. Niebo płakało małymi kropelkami deszczu nad Warszawą. Szare było i smutne, jak płyty chodników, lśniący asfalt jezdni i tynki domów. Stach patrzył uważnie w daleką perspektywę Długiej.

Nareszcie! Stojący na rogu Bielańskiej Jurek, począł wywijać kapeluszem jak szabłą. Nieprzytomny radością, że już ją. Gwizdek Stacha krótkim sygnałem przekazał nowinę wszystkim. Mocniej zwarły się dłonie na szykach butelek, łyżkach granatów i spustach maszyn.

Wtem zjawił się patrol. Jechali jak zwykłe na rowerach. Z zielonych hełmów spływała woda na ich płaszcze, buty i Bergmanny. Zerkali na chodniki z podełba. Uważnie i podejrzliwie. Uf! Przejechali, zniknęli w załamaniu Długiej.

W oddali wysuwał się zakrętu ciężarowy wóz. Jakże znajomy! Buda pa-wiacka. Na wyciągniętą dłoń padały pierwsze łyzy deszczu.

I wtedy wylazł z bramy. Trafił jak Piłat w Credo. Granatowy. Oniemiał, ujrzałszy broń. Sięgnął do kabury. „Odejdź pan szybko“ — lojalnie uprzedził Stach. Policjant dźwigał w górę parabelkę. Z lufy Colta wyleciała kula — z granatowego życia. Padając, zdążył bydlak jeszcze strzelić. Już nieszkodliwie.

Szofer, prowadzący budę usłyszał strzały. Wyczuł niebezpieczeństwo. Naciśnął akcelerator, chcąc umknąć w Nalewki. Nie zdążył! Z chodnika zeskakuje gibkie i zwinne postacie. Naprzeciw, przed sam wóz. Krótkim łukiem spadają butelki. Tłuczone ich szkło pryska z nęd maski motoru długimi językami ognia. Ogniesycony benzyną motoru i szybkością wo-

zu, ogarnia płomieniem szoferkę. Szofer instynktownie naciska hamulce. Wóz, nieudolnie skręcając w bok, staje tuż pod arkadami Arsenau. Z auta wyskakują gestaple. Na jednym tli się mundur. Zaczynają chaotycznie strzelać. Na strony. Wysoką melodią Stenów grają ruiny. Gestaple łamią się w pół, padają. Chwilę drgają jeszcze ciężko obute nogi.

Nalewkami biegnie major SS. Wyszarpnął rewolwer i coś krzyczy. Z boku uważnie celuje Wojtek. Przecież kule są tak cenne. Lekko szarpnął FN. Ciężko upadł SS-mann. Daleko potoczył się rewolwer.

Ulica huczy strzałami. Dwóch gestapli, ocalałych z tylnego siedzenia broni się dalej. Jeden wreszcie z nich pada. Drugi spokojnie i uważnie ostrzeżuje się nieprzerwanie. Zbój stoi na tle wozu, pełnego więźniów. Kule wała po murach. Walka nie może się przewlekać. Stach podrywa chłopców do ataku — „Naprzód!“ Wojtek biegnie ze swoją piątką, Słoń z zaciętym Stenem. Nie zważają na strzały tamtego. Szkop nie wytrzymuje nerwowo. Ucieka i kryje się za wozem. Dwie kule Stacha rzucają go na jezdnię. W susech dopadają więźniarki. Otwierają płonące drzwi szoferki. Samotny gestapel jest jednym płomieniem. Spuszczają tylną deskę auta. Oniemiali przerażeniem, wylewają się szeroką falą pensjonariusze Pawiaka. Przewracają i gniotą. Mrużą oczy oblakane stałym widokiem krat. I zaraz uciekają. W dał, w wolność, w cudem odnalezione życie.

Wtedy dopiero, z pomiędzy ławek wy-czołguje się on. Ostatni. Poprzez rozgorączkowanie bitwy nie dostrzegają jego wyglądu. Radość bucha, jak płomień płonącego wozu. „Jest, jest Rudy!“ Biorą go na ramiona. Unoszą na inne teraz auto. Ich — polskie.

Nagle ktoś go dostrzegł. Skurczony trząsł się w samym tyle wozu. Zwierzęcym strachem latały szczęki i ręce. Oczy lizały ich dłonie błaganiem o życie. Gad. Po strzale się wyprostował. Natychmiast i nieruchomo. Na podłodze swego krematorium.

Wóz płonął jak pochodnia. Dopalał się leżący na chodniku gestapel. Wzdłuż ulic grzmiały strzały. Ubezpieczenia jak zwykle pracowały najtrudniejszym zadaniem.

Ford szarpnął i ruszył. Rudy leżał i jęczał. Boże! Zapadnięte policzki zielono-żółtej twarzy. Cofnięte gdzieś w głąb i rozszerzone cierpieniem oczy. Czarne, spuchnięte ręce i uszy. I te sińce, sińce, sińce. Potworne swym ogromem i kolorytem.

Chłopcy wpełnęli nowe magazynki do rur. Teraz mogą się uśmiechnąć do niego. Serdeczną, szczerą radością. Weselem swych serc. Tak bardzo przecież chcieli, że musiało się udać. Dumni są teraz i spokojni. On jest znów z nimi. I najważniejsze, że nie zawiodł się na nich. Jak oni nigdy na nim. Nawet w tamtym, okrutnym dniu — i aż do dzisiaj.

Długo patrzy na niego. Tak, to nie podlega dyskusji. Jest potężne i niepodzielne jak dogmat. Z nim, tak jak dotychczas pójdą zawsze i wszędzie. I dalej nawet. Tam, gdzie już niepotrzebne są nogi. Na śmierć!

Rudy, uśmiechając się oczami, ujął rękę przyjaciela. Ścisnął ją mocno w swych dłoniach. Umęczonych; czarnych i spuchniętych. Szepnął: „Stachu, ach Stachu, gdybyś wiedział!“... Uśmiechał się tylko oczami.

Bardzo się męczył. W bezsennych nocach i niespokojnych dniach. Wreszcie, trzeciego dnia cicho i spokojnie zasnął. Nikt nie miał odwagi go budzić. Odszedł, bo tak chciał On. Nieodwołalnie i epilogicznie. Umarł...

Lecz został oddział. Przepojony pięknym jego życia i potęgą jego niezmordowanej pracy. Naświetlony śmiałością tych czynów i ofiarą tej śmierci. Pozostał dla nich symbolem i dumą. Tradycją... Pozostała już na zawsze — Kompania Rudy.

Ginęli jej dowódcy i chłopcy. W betonowych piwnicach Gestapo, pod murami zgruzowanego getta, na szarych chodnikach ulic. Ginęli w otwartej walce, umierali w okrucieństwach mąk badania Szucha i Pawiaka, padali w salwach egzekucji ulicznych. Odchodzili starzy weterani, napływali nowi wolontariusze. I kompania żyła. Swym utajonym życiem konspiracyjnej pracy. Twardym i ugornym, jak skiby polskiej ziemi pod śnie-

Jerzy Kubisz

Nieznany myśliciel

Francuska filozofia egzystencjalna uważa za swego prekursora wielkiego myśliciela duńskiego Sörena Kierkegaard'a (1813—1855). Filozofia ta zyskuje coraz większą popularność w miarę jak traci ją neotomizm. Wyobrażenie o typie francuskiej filozofii egzystencjalnej i jej wielkim prekursorze dają trzy, stawiane obok siebie nazwiska: św. Augustyn, Pascal, Sören Kierkegaard. Z ich ducha powstała filozofia, która staje się tak niebezpieczną konkurentką neotomizmu. Sören Kierkegaard był u nas znany przez dłuższy czas jedynie jako autor „Dziennika uwodziciela”. Tymczasem jest on autorem olbrzymiej, jak na jednego człowieka, ilości dzieł. Powiadają, że w literaturze duńskiej jego pisma stanowią „literaturę w literaturze”. W Kopenhadze stoi pomnik, który przedstawia Kierkegaard'a z piórem w ręku nad zwojem arkuszy. Są bowiem, jak mówi G. Brandes — twórcy, którzy potrzebują przejść dużych i licznych, aby stworzyć całkiem małe dzieło. To są owi poeci, którzy ze stu funtów róży wyciskają jedną kroplę olejku. Ale są też talenty, których natura tak płodna, których wewnętrzny klimat jest tak gorący, że z całkiem codziennych stosunków, które przeżywają z największą energią — stwarzają szeregi znakomitych dzieł*). S. Kierkegaard należał do tego drugiego typu twórców. Najwięcej Jego dzieł przetłumaczyli Niemcy. U nas jest w bibliotece „Symposion”, wybór pism Kierkegarda w tłum. Bienstocka. Poza tym, jeżeli jest komu bliżej znany, to chyba dzięki wykładom prof. B. Suchodolskiego.

Cała filozofia S. Kierkegarda powstała niejako w drodze do rozwiązania problemu, który ukazuje się dopiero w jednym z ostatnich jego dzieł p. t. „Nienaukowy epilog”. Problemem tym, do którego stałe się zbliża, jest: stać się chrześcijaninem. Kierkegaard widzi w tym swoje zadanie, aby wbrew współczesności uczynić ten problem najtrudniejszym. Chrystus — mówił — przez trzy lata nauczał, aby zdobyć sobie 12 uczniów. Dzisiaj w ciągu kilku godzin za pomocą prostego obrzędu tysiące stają się chrześcijanami. Kierkegaard oburzał się na współczesne sobie społeczeństwo chrześcijańskie. Jeżeli my wszyscy — mówił — jesteśmy chrześcijanami, to eo ipso chrześcijaństwo nie ma. Jest to największe „totostrwo” powiedzieć, że my nimi jesteśmy (t. j. chrześcijanami). Równa się to zniesieniu obowiązku każdego, aby stał się chrześcijaninem. Droga stawania się jest długa. Kierkegaard ukazał całą dialektykę przejść, wiodących do chrześcijaństwa. Dialektyką swoją, swoją — jak mówił — nauką o fazach na drodze żywota — przeciwstawił się dialektyce zewnętrznej Hegla, dialektyce obiektywnego rozwoju. Kierkegaard stał na stanowisku, które nie jest ani obiektywizmem, ani subiektywizmem. Charakteryzuje je personalizm. „Nie ma prawdy obiektywnej, prawdą jest bowiem żar wewnętrzny. Największą prawdą jest ta, która żąda, aby za nią oddać swe życie. Jeżeli nawet mówi „ziemia jest okrągła”, to jest to obiektywna prawda. Ale jakież ma ona znaczenie, dla osobistego stosunku jednostki do prawdy? Najwyższą prawdą istnienia jest obiektywna niepewność. Ta definicja prawdy jest zarazem u Kierkegarda opisem wiary. Wiara nie

giem. Dzwoniącym kluczami więzień i migoczącymi lampkami cmentarzy.

Mnożyły się krzyże na mogiłach i — piersiach. Narastały wyższe szarże. Rozkazy „góry” pełne były pochwał i podziękowań. Raporty kompanii niezmiennie te same. Sprawozdania z akcji. Zdobytcze i straty. Ranni, zabici, aresztowani... Zmieniały się tylko pseudonimy.

Nie było akcji bez nich. A tyle ich było w Warszawie! Tu osiłowali, tam nacierali, odbijali i dobijali. Wyszadzieli pociągi i mosty, magazyny i strażnice. W Gubernii i po za nią. Zawsze chętni i pierwsi. Drwiący z niebezpieczeństw, w które się bezustannie zanurzali. Śmiejący się z śmierci, stałej i niezawodnej ich towarzyski.

jest cichą pobożnością, przynoszącą ukojenie. Wiara jest cierpieniem. Jest ona tym, co Grecy nazywali boskim szałem. Droga do wiary, do życia religijnego — wiedzie poprzez estetyczną i etyczną fazę.

Faza estetyczna jest okresem naturalnego, ludzkiego życia. Estetycznym w człowieku jest to, przez co jest on bezpośrednio tym, czym jest. Opisując tę fazę Kierkegaard miał przed sobą gotowy jej obraz. Dostarczyli go romantycy. Panowanie romantyzmu nad życiem duchowym wyraża się w estetyzmie. Wszelkie stopnie i odcienie estetycznego życia mają wspólne hasło: Szukaj szczęścia — używaj życia. Dla estetyka istnieje jeden tylko wróg i jedno niebezpieczeństwo, to jest zabijająca monotonia, nuda. Dlatego dusza estetyka vel romantyka rozprasza się we wszystkich kierunkach, szuka ciągłej odmiany, nowości. Stara się unikać wszystkiego, co kępuje i więzi, co zmusza nas do wytwarzania „postanowienia” i „powtórzenia” (specjalne kategorie etyczne Kierkegarda). Ucieczka przed związkami, jakie nakłada rzeczywistość, absolutna samowola, pozbawia romantyka wszelkiej wewnętrznej spójni. „Niebieski ptak” jest poetyczną figurą szkoty romantycznej. Życie zmysłowe w mniej lub więcej subtelnych formach jest stałym elementem życia romantycznego. Kierkegaard podjął walkę zarówno z idealistyczną spekulacją Hegla, jak z romantyzmem. Skutkiem bowiem obu tych kierunków dla życia osobowego była utrata przez jednostkę samodzielnego, autonomicznego znaczenia. Psychika ludzka została pozbawiona poczucia metafizycznej odpowiedzialności za własne losy. W koncepcji Hegla człowiek był niewolnikiem wobec automatycznych praw rozwoju obiektywnego ducha.

W życiu romantycznym natomiast był człowiek niewolnikiem własnych nastrojów i kaprysów. Kierkegaard podkreśla w przeciwieństwie do obu tych kierunków znaczenie prawdziwie wolnego wyboru człowieka. Wybór jest już jednak znamiem następnej fazy życia, fazy etycznej.

Z fazy estetycznej nie ma ewolucyjnego przejścia do fazy etycznej. Konieczny jest skok. Staje się on możliwy dzięki przejściu zwątpienia. Świadomość nicości, która kryje się w istocie życia estetycznego, przynosi zwątpienie. Pomiedzy fazą estetyczną a etyczną umieszcza Kierkegaard ironię. Jest to ironia w sensie sokratycznym. Ironia ta nie jest czymś intelektualnym. Jest czymś, co raniąc nas, pozwala rozbudzić się przejściom o niewystarczalności świata zmysłowego. Jeśli jednak zwątpienie jest dostatecznie głębokie, jeśli nie nastąpiło wewnętrzne załamanie duszy — wszystko jest stracone. Tylko najgłębiej przeżyte zwątpienie staje się ocaleniem. Zjawia się bowiem wówczas jako nieodzowny postulat wyższa forma bytu. W zwątpieniu, które jest wątpliwością osobowości, a nie tylko myśli, leży możliwość wyboru. „Wybór sam — pisze Kierkegaard — rozstrzyga o istocie osobowości; przez wybór utonie ona w tym, co wybrała, a jeśli nie wybierze, umiera na „suchoty”. Przeskok w fazę etyczną, to wybór kategorii etycznych dobra i zła. W fazie estetycznej bowiem żyje się poza dobrem i złem. Sam termin „wybierać” jest właściwym i ścisłym wyrazem dla etycznego.

A przecież tak bardzo kochali życie. Ciekawością poznania go i przeżycia wiosną swej młodości. Zachłystywali się czarem zieleni pól, akwarelą nieba i ciepłem słońca. Aż do bólu. Aż do ostatnich kopnięć rozwścieklonych SS-mannów i zimnego ołowiu, przebijających ich ciała kul.

Taką była ta kompania. I taką poszła w powstanie. Rozśpiewana melodią Warszawianki, rozżarzona potęgą czynu i rozplamiona swoją tradycją.

Kompania idealistów i prawdziwych bohaterów. Kompania młodych harcerzy. Jego kompania. Rudego..

Andrzej Jar-Górecki

W fazie etycznej człowiek musi nieustannie dokonywać wyboru w jego absolutnym znaczeniu. Wyboru między dobrem i złem. Życie ludzkie jest stawaniem się i jest pełne sprzeczności. Wbrew Heglowi utrzymywał Kierkegaard, że istnieje niezaprzeczalne przeciwieństwo między logiką a życiem. Dlatego też nie może człowiek tylko go rozpatrywać; czynić nad sprzecznościami życia spekulacje, lecz musi między nimi wybierać. Heglizm przez swój panizm i tendencję unifikującą czynił zadość współczesności, która nie chciała słyszeć o bezwzględnym albo — albo. Przed człowiekiem stoją różnorakie możliwości. Życie samo przynosi coraz nowe sytuacje, wymagające rozstrzygnięć. Wybór przekształca możliwość w jedną z określających życie rzeczywistości.

„Przy wyborze jednak — pisze Kierkegaard — nie chodzi tak dalece o to, aby odpowiednio wybrać, lecz o energię, o powagę, o patos wybierania. Jeżeli człowiek wybierze nawet fałszywie, odkryje wkrótce na mocy energii, z którą wybierał, że nie wybrał odpowiednio. Albowiem wskutek dokonania wyboru z najgłębszą energią całej osobowości klaruje się istota człowieka, a on sam przechodzi w bezpośredni stosunek do Wiecznej Mocy, która wszędzie cały świat przenika”. W fazie etycznej nie jest wymagana jasna świadomość, co jest dobrem, a co złem. Nie jest tu koniecznym wybieranie dobra. Możliwość paradoksalnie powiedzieć, że jest rzeczą etyczną wybieranie zła. Wybór zła jest bowiem również charakterystyczny dla fazy etycznej, jak wybór dobra. Patos wyboru polega na tym, że człowiek musi wybierać. Unikając wyboru jednak człowiek wybiera, mianowicie wybiera uchylenie się od wyboru. Winą jest zły wybór, ale winą też jest brak wyboru.

„Estetycznym w człowieku jest to — mówi Kierkegaard — przez co staje się tym, czym się staje”. W etycznej fazie panują kategorie obowiązku, powtórzenia i postanowienia. Przez „powtórzenie” rozumie Kierkegaard koncentrację, wejście w siebie i pogłębienie siebie samego, prowadzące do udoskonalenia własnej osobowości. Kto żyje estetycznie, jest przypadkowym człowiekiem, natomiast kto etycznie żyje, pracuje nad tym, aby stać się ogólnym człowiekiem. W miłości widzi objawienie ogólnego człowieka. Dążenie do ogólności nie oznacza wszelako wyzbycia się własnej konkretności. Zadaniem jest przepoić przypadkowość ogólnością. Faza etyczna nie oznacza też zniesienia piękna. Tu właśnie ukazują się prawdziwe piękno i piękno pracy ludzkiej, piękno przyjaźni, piękno małżeństwa i miłości małżeńskiej. Piękno to musi zwyciężyć. „O wiarę w zwycięstwo piękna — pisze Kierkegaard — chcę walczyć na życie i śmierć i żadna moc świata mi jej nie wydrze”.

Ponad życiem etycznym jest sfera życia religijnego. Nie znaczy to, aby życie etyczne było pozbawione pierwiastka religijnego. Przeciwnie, religia jest tłem życia etycznego. Mimo to życie etyczne nie jest jeszcze życiem religijnym. Etyk nie zna konfliktów i problemów, jakie przynosi życie religijne. Przejściu w fazę religijną towarzyszy poczucie humoru. Jest to humor metafizyczny, który ma wyrażać dystans wobec życia ludzkiego wogóle. Humor przerzuca człowie-

ka z życia ziemskiego na poziom boskiej komedii. W chrześcijaństwie „humorystyczne” polega na tym, że wszystko wielkie i potężne w świecie wydaje się małe i śmieszne. Człowiek przechodzący w fazę religijną, musi zerwać z pewnym szablonem życia ludzkiego: musi odważyć się na samość. Kiedy człowiek staje przed Bogiem, wykluczone jest wszelkie towarzystwo. „Samość” w sensie Kierkegarda nie jest romantyczną separacją „cóż mi po ludziach”? Kierkegaard ma na myśli osobę człowieka i jego indywidualny los. Mówiąc bowiem o losie jednostki, należy odróżnić życie prywatne od przeżyć osobowych o charakterze ogólnoludzkim. Nie jest to wyjście, jak mówi prof. Suchodolski, poza indywidualizm (przeżywanie siebie czysto prywatne) i kolektywizm. Takie życie jest o wiele trudniejsze od życia członka zbiorowości, czy indywidualistycznego romantyka; jest życiem tragicznym, w którym sam każdy szuka własnej drogi. Przeżycia pozostają tu osobiste, ale są zarazem ogólnoludzkie.

Wiara w dogmaty i kościół nie jest przeżyciem osobowym w sensie Kierkegarda. Przeżyciem osobowym jest przeżycie paradoksów wiary. Paradoksów, o które „rozum potyka się krwawiąc czoło”. Paradoks jest bazą wiary; jest wiedzą wiary. Z paradoksu wynika konieczność poznania przez objawienie. Paradoksem jest stosunek człowieka do Boga, jako stosunek istot absolutnie różnych. Chrześcijaństwo różnicę tę jeszcze zaostrza, stawiając człowieka przed Bogiem, jako grzesznika przed świętym. Paradoks podważa się przez to, że Bóg — Wieczna Prawda, chce zniżyć się do grzesznika. Absolutnym paradoksem jest Bóg-Człowiek, łączący momenty wieczności i historyczności. Dlatego „ściśle religijne” jest krzyżem, na którym musi być poświęcony ludzki rozum i ludzkie szczęście. Przeżycia właściwe religijnej fazie są z istoty swej tragiczne. Gdy człowiek stanie przed Bogiem, musi umieć oceniać swe życie; musi zejść głębiej świadomości grzechu i winy. Gdy człowiek występuje przed Bogiem, jego najmniejszy błąd staje się nieskończoną winą. Możliwość wyboru, która jest możliwością wolności, a zarazem możliwością głębi, stwarza t r w o g e. Komu jest obce w takim wypadku doznanie trwogi, ten chyba jest zwyczajnie tpey. Trwoga jest pobudką do samowiedzy i przez to odkrywa nasze przeznaczenie. Trwoga jest zarazem drogą do wiary i przez to odkrywa naszą winę. Człowiek, który z głęboką powagą przeżywa swoją winę, uzyskuje odpuszczenie grzechów. Powstaje wówczas paradoksalny stan duszy. „Jednoczesne cierpienie (z powodu winy) i radość (z przebaczenia). Istotą życia religijnego jest wiara. Z wiarą wiąże się raczej przeżycie niepokoju i cierpienia, niż ukojenie. Droga do wiary jest niemniej bolesna niż życie z wiarą. Przewodzi do niej paradoks i trwoga

Kierkegaard walczył ze spekulacją filozoficzną Hegla i z teologią obiektywną. Dążeniem Hegla było zjednoczyć filozofię i religię. Przedstawił religię jako rozumną, a rozum jako religijny. Prawda, ku której zmierza filozofia, nie jest w istocie swej inna od tej, którą głosi religia. Różnice sprowadzają się do języka, którym wyrażamy treść filozoficzną i religijną. Mowa religii jest mową przedstawień i symbolów, mowa filozofii mową abstrakcyjnych form myślenia. Wystarczy przeto mowę przedstawień i symbolów przełożyć na język pojęć, aby uzyskać jedność i harmonię. Sören Kierkegaard widzi w całym tym rozumowaniu karykaturę i sfałszowanie istotnej treści chrześcijaństwa. Z chrześcijańskiego punktu widzenia nie ma prawdy poza przeżyciem wewnętrznym. Hegel ślącza w jedno dwie sfery, które stosownie do swej natury powinny być utrzymane w przeciwieństwie. Istotą religii jest wiara.

Negacją wiary, jako wewnętrznego przeżycia, jest również teologia obiektywna. Chce ona wszystkiego dowieść. Ale przecież gdyby możliwy był dowód choćby istnienia Boga, zbyteczną stała by się wiara. Teologia obiektywna chce wiarę zastąpić wiedzą. Tymczasem bez wiary nie jest do pomyślenia życie osobowe. Wiara uczy żyć na własny rachunek, a nie w płaszczyźnie obiektywizmu, ani bez rachunku jak w subiektywizmie.

Istotą religii jest wiara,

*) G. Brandes. S. Kierkegaard. Ein Literarisches Charakterbild. Str. 68.

Jan Białostocki

O nieznośnym sentymentalizmie

Proces laicyzacji i pewnej sekularyzacji doznań estetycznych, którego przebieg można wysledzić w ostatnim wieku, prowadzi do krzewiącego się nagminnie estetycznego sentymentalizmu. Jest to zjawisko, które wymaga analizy i, jak sądzę, przeciwdziałania.

Dawne epoki znały nierównie dalej posunięty związek sztuki ze społeczeństwem. Świątynia wschodu, Grecji, czy średniowiecza wyrażała potrzeby religijne i kształtowała środowisko życia duchowego, grobowiec stanowił dom wiekuiisty, który przechowywać miał szczątki aż do czasu ozwania się trąb. Cele tej sztuki były bezwzględnie w pierwszym rzędzie pozaestetyczne — geneza jej funkcjonalna łączyła ją ściśle z ludźmi, którym służyła w takim czy innym związku.

Ale z drugiej strony ta ważność sztuki w życiu przeszłości realizowała się w atmosferze szacunku, niezwykłości, oderwania od normalnego pasma przeżyć codziennych — która otaczała przeżycia estetyczne. Stosunek człowieka do dzieła twórczości artystycznej charakteryzował się nabożeństwem, powagą, skupieniem i wysiłkiem. Sztuka stała w aureoli, uwieczniona nią przez uczucia związane z boskim aktem tworzenia. Paralelizm twórczości artystycznej i boskiej podkreślał już neoplatonizm. Pamiętajmy tak długi łączność rozwoju sztuki z religią.

W swej pięknej książce o Sofoklesie Tad. Zieliński charakteryzuje nastrój panujący w Atenach w dniach świąt Dionizosa, których kulminacyjnym punktem były przedstawienia teatralne, nastrój pełen uroczystości i dionizyjskiego upojenia. Tamże czytamy zestawienie z „toutes proportions gardées” analogią we współczesności naszej — atmosferą przed stawień wagnerowskich w Bayreuth. Zieliński pisze o poczuciu dostępowania jakiejś komunii artystycznej, ezoterycznego wtajemniczenia, przekraczania progu dzielącego zwyczajność od niezwykłości, codzienność od święta. Podobnie, jeszcze sto lat temu, podróżowali po Europie młodzi artyści, pragnący zapoznać się z wielkimi dziełami, przebywali olbrzymie przestrzenie aby dotrzeć do Rzymu, Paryża, Florencji, aby wreszcie po trudach dalekich i znojach przeprawy stanąć w obliczu dzieł, strzeżonych przez siedem pieczęci przestrzeni*). Jakimś świętem był dla całego miasta przyjazd wielkiego muzyka. Pamiętniki i listy ukazują nam jasno atmosferę uroczystości, otaczającą koncerty sławnych artystów. Jak dostojną i pełną powagi czynnością było czytanie. Zwłaszcza wówczas, gdy jeszcze głośno czytano — czynność ta absorbowała zupełnie. Ludzie dawni, pogrążeni w monotonii życia, jakiej sobie nie możemy teraz wyobrazić, podchodzili z niezwykłym nabożeństwem do przeżyć estetycznych, będących błyskawicami, które zapalały się wśród ciemności i otwierały dla wzroku inne dziedziny. Były rewelacją, przeżyciem, wtajemniczeniem, nigdy rozrywką.

Ten stan rzeczy podlega, w ostatnim zwłaszcza wieku wyraźnej zmianie. Sztuka upowszechnia się, przestaje być cenna, doniosłą i niedostępną. Fotografia, kino, codzienny teatr, gramofon i radio — oto hasła, które łatwo uprzytomniają podobne przemiany.

Płyta gramofonowa i głośnik w każdej chwili może mi powtórzyć Bachowską Pasję, Mszę Solenną Beethovena, zawsze młody głos Carusa czy Szaliapina; w setkach egzemplarzy mogą rozwiesić na ścianach mieszkania wizerunki proroków i sybill, rozmodlone postacie katakumbowych orantów, ilekroć podniosę wzrok, mogą mieć przed oczyma oszalałającą plastykę indyjskich „stoup” czy obraz Alhamby w Grenadzie; liczne i doskonałe przekłady bez trudu udostępniają mi „Życie snem”, „Luizjady”, „Mahābhara-

te” czy „Pieśni Eddy”; teatry zapraszają barwnymi plakatami — przedwojenna ulica paryska narzucała zblazowanemu przechodniowi wachlarz arcydzieł — od Ajschylosa do Giraudoux, od Shakespeare'a do Cocteau.

Słusznie mówił Baudelaire „o bezceństwie druku, wielkiej zawady w rozwoju piękna”.

Czy można się tedy dziwić, że tak wielka przepaść dzieli dzisiejszego człowieka od skąpionego widza na zbrocu Akropolu, który z drżeniem czekał aż Sofokles „wprowadzi swój chór”.

Nacóż mamy się wysilać? Czyż doznania estetyczne są święte, wielkie, niedostępne? Mamy ich przecież dość. Nadmiar sztuki zalewa nas ze scen, ekranów, pism i wydawnictw. Zamykamy znużeni radio. Znamy już przecież wszystko — nie znając naprawdę niczego. Wszystko już widzieliśmy, po wszystkim przesłiznęły się nieciekawe już żrenice, bez skupienia wędrujące po świecie. A estetyka impresjonizmu sankcjonująca intelektualizm i emocjonalność doznań estetycznych utwierdza człowieka w jego powierzchowności.

Może dla tego właśnie sztuka ostatnia, ażeby ratować resztki zainteresowania ucieka się do form prowokujących wprost wysiłek odbiorcy: — spróbuj jednym uchem słuchać Szymanowskiego mieszając kawę — w czasie rozmowy towarzyskiej zgłębiać Cheggell'a czy Brandla, spróbuj znaleźć przekład „Ulissesa” albo czytać „Młodą parkę” jak „Courts-Mahlerową”. Faktem jest, że przeciętny odbiorca ostatnich czasów stracił namaszczone i poważny stosunek do sztuki, cechujący okresy dawniejsze. Stracił przekonanie, że sztuka jest rzeczywistością, której poznanie połączone jest z wysiłkiem nie mniejszym od tego, który konieczny jest dla poznania naukowego. Zapanowało nim czymś nieuzasadnione przekonanie, że dla właściwej apercpeji sztuki wystarcza czysto bierne, asocjatywne lub emocjonalne nastawienie. Zapoznaje się całą intelektualną stroną doznania estetycznego. Z dzieła nie się nie bierze, bo na to trzeba wysiłku — używa się go jedynie jako induktora uczuć — a uczucia przeżywane nie są najlepsze, krzewi się sentymentalizm.

Estetyk niemiecki Moritz Geiger („Zugänge zur Aesthetik”) niewłaściwość doznań estetycznych upatruje w tym, że niedosięgają one i nie przeżywają istotnych wartości estetycznych dzieła. Trudno wszelako z określenia wartości wyrugować termin „doznania estetyczne”. Słuszniejsza może droga M. Wallisa, który za właściwe doznania uważa te, które najbardziej zbliżają się do przewidywanych przez twórcę. A sentymentalne przeżycia współczesności naszej delekcie są od przeżyć, które liczni twórcy pragnęli wywoływać. To też sentymentalizm woli sztukę odpowiedniejszą dla siebie — i tu też zły jego wpływ — inspiruje złą twórczość. Koniec XIX wieku wytworzył tę nieznośną sztukę, którą Wallis nazywa gdzieś „wczorajszą”, względem naszej epoki — sztukę, której korzenie tkwią w sielance, w po Rousseau'wskim pastorałizmie, w epigonach romantyzmu, sztukę, dostosowującą się do owego zdeprawowanego gustu nie znoszącego wszyskiego co granitowo szlachetne i wielkie — sztuka łatwizny i płytkich uczuć — słodkich główek kobiecych, secesyjnych wnętrz, wierzb, wrzósów, róż, zadumy, mgły i osmętnicy, Geigerowskiej „cukierniczej plastyki” i Wallisowskich rzeczy „ślicznych”.

Liczni wielcy artyści mieli swój zły udział w budowie niepotrzebnego gmachu. Słusznie Geiger zaznacza, że sztuka romantyków, a dopowiem i modernistów — często idzie na rękę skłonności do powierzchownej reakcji na sztukę. Z umysłu tworzy się utwory nie wymagające czynnej postawy: Noals (cyt. przez Geigera) żąda „opowieści bez związku wszelako z kojarzeniami jak w snach, wierszy dobrze brzmiących i pełnych pięknych słów, jak różnobarwne ułamki...” Verlainé sankcjonuje podobny styl pragnąc muzyki przed wszystkim**).

** Niewątpliwym jest też udział prerafaelitów angielskich w kształtowaniu sztuki sentymentalnej.

Obraz tego procesu daje się wysledzić w teorii estetycznej, która powoli od intelektualizmu XVII i XVIII wieku postępuje ku wysuwaniu na pierwszy plan uczucia. Anglicy, Teteus, Mendelssohn, „Krytyka władzy sądenia”, Rousseau, idealizm, romantyzm, psychologizm — oto droga uprawomocnienia wyłącznych uroszczeń uczucia.

Byłoby sprzeczne z doświadczeniem wewnętrznym negowanie istotnego emocjonalnego charakteru doznania estetycznego — przecież niezaprzeczony jest w nim udział pierwiastków intelektualnych. Geiger różni koncentrację wewnętrzną, na własnych uczuciach i zewnętrzną — na przedmiocie, określając tę pierwszą postawę jako dyletancką, a przeżycia, które daje jako sentymentalne. Tenże autor mówi o powierzchownym działaniu na sferę „witalną” i działaniu głębokim, na całość psychiki. Lepiej jeszcze formułują zagadnienie terminy prof. Wł. Tarkiewicza (Marchoń 1935) ujmujące przeżycia estetyczne w kategorii skupienia i marzenia.

Trwa jeszcze okres, który cechuje, przynajmniej u większości — marzenie, „koncentracja wewnętrzna” i „działanie powierzchowne”. Panuje sentymentalizm lenistwo umysłowe wyhodowane przez łatwiznę artystyczną, wygodnictwo, bezmyślność i skłonność do marzenia. Człowiek przeciętny idzie drogą najsłabszego oporu: oddaje się nastrojowi wywoływalnemu przez dzieło, działaniu czynnej ekspresji narzucającej stany emocjonalne, puszcza się na awanturnicze, leniwe, pasywne żeglowanie po ospałych falach kojarzeń, podsuwanych równomiernym przypliwem muzyki — rytmu, którego wielkości, zdumiewającej konsekwencji, precyzji i głębi nie dostrzega. W sztukach przedstawiających — nastawienie na treść i to na desygnat dzieła, obraz ma znaczenie, bo przypomina prawdziwą wieś, góry. Zachód słońca, czy ułana z dziewczyną. Panowanie pozaestetycznych czynników w całej pełni.

Egotyzm i ograniczenie współczesnego człowieka każą mu dostosowywać sztukę do własnego zasobu przeżyć — wzniosłość: tragizm przerobią na melancholijną „łęskną” zadumę i kliwie uniesienie. Pełen grozy i symboliki tan — staje im się „wesołym oberkiem”. Co wspaniałe, kosmiczne i wzniosłe opływa po sercach uodpornionych na wielkość, znieczulonych przez nadmiar doznanych wrażeń.

Sztuka staje się rozrywką. Miał podnosić, wtajemniczać, uświęcać — bawi i rozrywa. „Jesienne róże”, „Ostatnia niedziela”, „Tango notturno” — oto symbole i hasła kręgu stanów uczuciowych w jakich z lubością pławią się nasi współcześni, a przed którymi wzdrygają się duchy naprawdę dostojne. Były dalej od głębi, problemów, od pracy intelektu. Baudelaire napisał: „Fanatyzm pokory. Nawet nie pragnął pojąć religii”. Tu jest gorzej. Tu nie tylko brak pokory, brak nawet pychy, każącej Arabom spalić Bibliotekę Aleksandryjską. Ci ludzie w ogóle nie odczuwają potrzeby wielkiej sztuki. Najwyżej, gdzie sięgają, to do Chopina, który, niestety, niekiedy idzie im na rękę (op. mój art. w Tyg. Warsz. 1945, nr. 4), lub grzeszną dlonią ponownie brukają karty przezystej sonaty cis Beethovena, do której, wraz z tak odpowiadającym sentymentalizmowi epitetem księżycowym, przyłgnęły uczucia dużej powierzchownyc’

„Koncentracja na przedmiocie (skupienie) wymaga duchowego napięcia, koncentracja wewnętrzna (marzenie) przeciwnie... idzie drogą najmniejszego wysiłku; przedmiot nie jest pojęty przez „marzenie” intensywnie, lecz przesłizguje się po powierzchni. I tego właśnie potrzebowało poromantyczne mieszczaństwo. Sztuka ma być „odpoczynkiem” nie wysiłkiem duchowym” (Geiger. op. cit. 26) charakteryzuje odbiorcę dzisiejszego, że sztuka — teatr, lektura stoi w jednym sztuka — teatr, lektura stoi w jednym rzędzie z innymi rozrywkami — dancin-giem, grą, wśród których wybiera, ażeby wypełnić swe wolne godziny. Obcując ze sztuką pragnie odpoczynku. Nic też dziw-

nego, że obce mu są i niezrozumiałe te dzieła, których hasłem jest wielkość, ból czy bohaterstwo. Czy można odpoczywać doznając właściwie Bacha, Milтона czy Greca? Do tego nadaje się literatura gazetowa, porywająca czytelnika bez wysiłku z jego strony, ekshibicjonistyczna muzyka bezwstydnie wywlekająca i postępująca skądinąd cenne uczucia — przy akompaniamencie swoistej (niezmiennej od Wertińskiego do „Piosnki o Warszawie”) filozofii tekstów.

Czy doznania estetyczne sentymentalne są mniej warte od doznań estetycznych właściwych? Czy można uszczęśliwić kogóż z musu? Czy można mierzyć zadowolenie estetyczne?

Wydaje się, że jednak należy przeciwdziałać przedstawionemu ustosunkowaniu się do sztuki w szerokiej masach, które nazwałem sentymentalizmem.

1. Ze względu na twórców i ich stosunek do odbiorców: Albo artyści utracą zupełnie odbiorców na rzecz pseudo artystów (powodzenie literatury sensacyjnej i złej muzyki), albo sami zaczną dostosowywać się do smaku odbiorców. Oba wyjścia jednakowo groźne dla rozwoju sztuki. Dzisiejszy artysta i tak stoi na granicy dyletantyzmu — minęły czasy długoletniego apprenticesage'u artystycznego (op. artykuł A. Zamojskiego, podnoszący konieczność terminowania od dziecka, jako warunek prawdziwego rzeźbiarza — Nike I). Jasne, że nie artystę do odbiorców, lecz odwrotnie, tłum do dzieła sztuki należy dociągać. I odbiorcom i twórcom wyjdzie to na korzyść.

2. Ze względu na odbiorców i ich wychowanie wewnętrzne. Wierzę, że uczucia powstające przy właściwym doznaniu wielkiej sztuki są cenniejsze, jednostkowo i społecznie, nie płynne stany marzeniowe pojawiające się nieuchwytnym korowodem u sentymentalnego odbiorcy. I to nie tylko rola uczuć — sama czynność właściwej, pełnej apercpeji dzieła sztuki jest wartościowa. Sztuka sublimuje i podnosi. Bismarck mawiał, że kto słucha „Appasionaty”, będzie dzielny człowiekiem. I tego też potrzeba. Właśnie ludzi wychowanych na dziełach największych. W pewnej przynajmniej mierze słuszna jest przecież teoria Brémonda o mistycznej naturze przeżycia estetycznego — ono uświęca.

3. Ze względu na dzieła sztuki już istniejące. Nieprzebrane zasoby arcydzieł plastyki, muzyki, literatury, ofiarowują ludziom to, co w nie zakuli najlepsi synowie ziemi. Jakimż marnotrawstwem jest posługiwanie się nimi jak alkoholem dla pobudzenia funkcji kojarzenia i stanu emocjonalnego. „Dobre dzieło sztuki zasługuje na to, by skupić na nim wrażenia i myśli; szkoda doskonałości jego na to, by ktoś, ledwie je zobaczywszy, czy zaczawszy go słuchać, już odbiegał odeń wyobraźnią w marzenie” (prof. W. Tarkiewicz, Marchoń, 1935, str. 405).

Ale nikt tego bez wysiłku nie dostąpi — świat wielkiej sztuki nie stworzy mu swych pieczęci, jak długo w doznaniu estetycznym będzie widział rozgrywkę. Słusznie powiada Słowacki:

„Trudu doznasz czytając niniejsze poema, a walkę będziesz musiał odbyć. duchu czytelnika, z duchem poety...”

O ile nie boisz się trudu współtworzenia — poznasz nowe światy, ale „Jeśliś leniwy, dzieło odrzucisz”.

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży, str. 96, wydanie 1946 — wysyła paczkami po sto egzemplarzy za pobraniem lub po wpłaceniu na konto PKO Nr VII—608 Łódź 10.60 zł. (cena hurtowa 10 zł., det.

liczna 15 zł. plus porto)

ks. dr. Win. Helenowski

Gostynin, wojew. Warszawskie.

*) Barrès w swojej książce o H. Grecu opowiada o olbrzymich trudach, jakie ponosił, ażeby odnaleźć i uzyskać możliwość oglądania — niedostępnych jeszcze w 1902 r. dzieł kreteńskiego mistrza — polowanie to na Greca wprawiało go, jak mówi, w najszcześniejsze podniecenie.

Pamięci Prefekta Akademików

sp. p. ks. dr. Edwarda Deikensa

Po niesamowitej, bezśnieżnej a ciepłej zimie nastąpiła „ironia wosny“ — ohydny ersatz w postaci zapóźnionej zimy śnieg niewidziany w zimie pokrył grubą warstwą marnowatą polną i trzymał się wśród zamieci śnieżnych, dochodzących do prawdziwie syberyjskich buranów, przepłatanych deszczami, aż do pierwszych dni kwietnia. Dokuczliwe zimno, wilgoć za dnia, mróz w nocy — ten historyczny taniec temperatury — kąśliwie rzucały się na wycieńczone półpiątym roku trwającym potwornym „dojutrkwaniem“ organizmy ludzkiej. Zdawało się, że w ślad za ludźmi i przyroda dostaje obłędu, a oszołomiona Historia Dziejów — stanęła w miejscu, bezradnie drepająca.

Ale Warszawa nie stanęła; ludzie snuli się nieprzerwanym potokiem od pierwszej chwili do ostatniego momentu „godziny policyjnej“, nie zważając na łapanie, egzekucje, areszty i walną strzelaninę — w śródmieściu, jak w ostepach Dziekich Pól.

Aż wreszcie w Wielki Czwartek nieco ociepliło się, a nazajutrz ucichły przekłete wiatry północno-wschodnie i zajaśniało słońce — normalne t. j. kwietniowe: wionęło prawdziwym ciepłem... Więc to niby na największe święto luteranckie — GrossFreitag?! Wszystkie sklepy niemieckie „zadeszkowane“ i tylko teraz można było ocenić, jak te herrenvolkowe wszy rozgnieździły się w Syrenim Grodzie, zwłaszcza w śródmieściu.

Jednak jeszcze większe niż „pluderski“ jest katolicki Wielki Piątek, bo jest prologiem Największego — Rezurekcji — Zmartwychwstania Pańskiego!

Już zawczasu naród polski dostał „na jajko“ upominek od Stanów Zjednoczonych A. P. w postaci pięknych słów z kazań arcybiskupa New Yorku podczas Mszy św. na intencję Polski, w katedrze św. Patryka:

„Polska jest więcej niż naród, jest to symbol. Nie może być Zmartwychwstania świata, bez zmartwychwstania Pol-
ski“!

Oto już drugi Amerykanin w ślad za F. D. Rooseveltem, pasującym Polskę na „natchnienie świata“, arcybiskup Steelman — daje świadectwo prawdzie w tak wzniosłych słowach.

Widocznie dlatego — chociaż jest jeszcze wszystko to staremu — już na rozdrożu (ziotokrzyżskim) śródmieścia czyli na Placu Trzech Krzyży — jest szeroka rozwarta brama kościelna i jasnoszara kotara akcentuje niby zapowiedź — uroczysty świąteczny nastrój, co się zbliża i rychło nastąpi!

Grób Pański w głównym ołtarzu tonie w powodzi nieskalanej bieli kwiecia jasnymi barwami radości, która widocznie stoi u progu... a tu wciąż pobożni dorzucają jeszcze coraz nowe naręcza kwiatów — tych najcenniejszych — od biednych.

Im ohydniejsze, krwawsze, bardziej ponure są zbrodnie katów okupacyjnych, tym jaśniejszą rozpala się wiara w sercu guębionego narodu: oto nieomal na każdej klatce schodowej, na każdym podwórku śród kwiatów — ołtarzyki-kapliczki z wiecznymi lampkami, to czerwini, to błękitu, zasilane prądem pomimo drożyzny i szczupłości „nieniemieckiego“ kontyngentu. Nie mogą zrozumieć zakate ibly wygranej wyższej rasy — tej „barbarzyńskiej“ a żarliwej hojności polskiego pogłowia! Gdzież by tam: prze cieba aby przekonać się o istnieniu nieba trzeba podnieść... ryj do góry, ale gruba warstwa „łoju cywilizacyjnego“ na karku uniemożliwia oderwanie się od „Realpolityki“ tej kłótki błota, krwi i wszelkich odpadków ideologii Lebensraum.

Jest pewna zmiana w porównaniu z przed rokiem: wówczas w dniu dzisiejszym było pełno szwargotu Herrenvolku na ulicach, jak również i zdumiewające wyjątki pojedynczych żołnierzy Wehrmachtu chyłkiem wślizgujących się do kościołów i żarliwie modlących się u Grobu Pańskiego. — Dziś całkiem inaczej: ani cywilów ani wojskowych — ani na ulicach ani w kościołach. Czyżby pochowali się „na wszelki wypadek“? To też minawszy kościotrup zamku królewskiego, odartego doszczętnie za wyjątkiem tarczy na wieży zegarowej, przechodząc wkracza na Stare Miasto i o garnia go dziwny nastrój: oto — jakgdyby już nie a nie nie pozostało po Niemcach, jak gdyby było to wszystko już bardzo dawno... panuje tu zapyłona senność: obdarte frontony, „rozpisanych“ a la Stryjeńska, kamienie i spora ilość pozamykanych podwoi — wszystko to jest jedynie skutkiem staropolskiego lenistwa z racji zbyt długiego „zastałego“ spokoju. Istotnie — chociażby jeden zatraco ny „gemein“ zjawiał się na tym szacownym bruku strasimiejskim, wyłażąc np. z Krzywego Koła, lub Wąskiego Dunaju! Tak... teraz „inny Dunaj“ — ten szerszy, nie modry, lecz czerwony i... węższy...

Rok 1945

Ludziska handlują na całego i na ulicy przepukpi i w sklepikach — wszystko o. twarte, a więc ani jeden nie „spludował się“... Jasno, słonecznie, radośnie i jakoś ochłodniej zrobiło się na świecie.

Przed Sakramentami na Nowym Mieście pokracznie rozwalony dół na skwe-

rze — to zohydzające i tak już pokaleczoną Warszawę sadzawski — „berlińskie konewki“ dla wyczerpywania morza bombardowań! Trudno... to przecież jeszcze przodkowie „Sowietów“ t. j. zwykli Rosjanie powiedzieli, że — „Niemiec obieżjanu wydumai“ — co znaczy, że „wynalazł“... małpe! Tak i te leje betonowe z wodą — „kurcom na śmiech“...

Ale słonko naprawdę grzeje i ptaszki swiergocą, wkracamy tradycyjnie do najstarszego „1411 r.“ kościoła Nawiedzenia M. Marii Panny. I tu jest jakoś radośnie, jasno, promiennie — coś z... pogody słowiańskiej — prawiecznego Ładu. Dziwy istne: najbiedniejsza ponoć parafia, a wielki ołtarz w owej przepięknej absydzie gotyckiej (z nieco „zdecentralizowaną“ osią) — przebogato odnowiony — i marmury kararyjskie lśnią różową jasnością — wprost niepokalana. Cóż to przygotowanie do rychłego „Te Deum laudamus“?!

W lewej nawie Grób Pański. W tym zakątku stolicy nigdy nie wysilano się nadmiernie na artysty lub „wyższy“ styl, ale zawsze w tej mieszczkańskiej prostocie tkwiło zdrowie moralne — wianie... starodawne.

Ale w tym roku bodaj że rekord pomysłowości w kunszcie „Grobu“ przypadnie temu kościółkowi i to nie z racji samego Grobu ile z powodu... skromnej wstęgi żółtej (papieskiej), obramiającej atrium kaplicy grobowej, z czarnym napisem, którego sens znajduje się dziś w każdym sercu polskim: „Ufajcie! Jam zwyciężył świat!“.

Ufali wciąż... całe półpiąta roku, bory-

kając się straszliwie z przemocą... zwątpień, ale dziś — ufność ta — mocą niezłomności wiary przeistoczyła się już w pewność!

Jednak obowiązuje obiektywizm, trzeba pohamować odruch pierwotnego, tj. niezamąconego rozumowaniem uczucia i oddać należne głębszej myśli, a mianowicie...

Najlepszym dowodem popularności Akademików służy prosty fakt, że przed żadnym kościołem nie ma „kolejki“, jak u św. Anny. Przed Bernardynami wąż wyciągnął się poza figurę Odsieczy, nawet poza wstydliwie sterzący cokół... „amerykańskiej wdzięczności“ — he! aż prawie po Trębacką.

Sympatyczny to objaw podwójnie: raz, że kochają Warszawiaci swoich akademików, a drugie — że wyrabia się smak artystyczny szerokich mas, bo akademicy trzymają wysoko sztandar Sztuki i odrzucając wszystkie błyskotliwe, chociaż tradycyjne atrybucje piękna pospolitego (nawet kwiaty uległy banicji!) — występują corocznie w surowej szacie czystej Sztuki — myśl — symbol — alegoria! Im prostszymi środkami osiągnięte — tym głębsze i potężniejsze...

Szare, fałdyste — jak portyk jakiejś Niniwy — obramienia służą oprawa obrazowi o spokojnych barwach niemal jednostajnych i monotonicznych — utrzymanych celowo w półtonach...

Na rumowisku, wznoszącym się stopniowo do góry, w jakie przekształcił najjeźdźca ziemię naszą, z lewej strony — przydrożne, takie bezański i proste krzyże drewniane, namagilne... Są to krzyże — „egzekucyjne“, jakie stawiała Warszawa rozstrzeliwanym woiąz przez zbiorów germańskich; o tym świadczą „cięte“ kwiaty, jakie po każdej egzekucji sypano na krew męczenników...

W sprawie nazw geogr. na Ziemiach Odzyskanych*)

W lipcu 1929 roku na pierwszym Ogólnopolskim Kongresie Krajoznawczym w Poznaniu przyjęta została na wniosek jednego z uczestników zjazdu uchwała o niezbędności podjęcia nowego wydania „Słownika Geograficznego Ziemi Polskich“.

Mówiąc o nowym wydaniu słownika geograficznego uchwała miała na myśli wielki „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych Krajów Słowiańskich“ wydawany w latach 1880 — 1904 przez F. Sulimierskiego i B. Chlebowskiego. Kto zna chociażby pobieżnie to niepospolite dzieło w sumie 15 tomów, dających szczegółowe opisy i informacje o najmniejszych nawet miejscowościach na ziemiach dawnej Polski lub ziemiach z nią historycznie związanych, ten zrozumie, jak ważną pozycją naukową jest to wydawnictwo. Wielkiej wartości to dzieło nie mające, o ile wiem, w tym okresie czasu żadnych odpowiedników w literaturze obcej, stworzyli ludzie o skromnych środkach lecz z wielkim zapałem i umiłowaniem pracy naukowej.

Inicjatywę wydania „Słownika Geograficznego“ obejmującego ziemie dawnej Polski, powziął Filip Sulimierski, redaktor warszawskiego „Wędrowca“ od 1867 do 1881 roku. Nie danym mu było jednak dokończyć tego dzieła, w które włożył tyle wysiłku i zapału. Umiera, a jego następcą i kontynuatorem był B. Chlebowski. On też dokończył to dzieło, którego akcja wydawnicza trwała 25 lat. Bowiem zarówno Sulimierski, jak i Chlebowski natrafili w swej pracy wydawniczej na ogromne trudności różnego rodzaju. W owym czasie nie było opracowań i opisów krajoznawczych poszczególnych obszarów, ziem czy miejscowości. Główny wysiłek przeto musiał iść na zdobywanie materiałów drogą prywatną za pośrednictwem niewykwalifikowanych współpracowników z rozmaitych sfer i zawodów, którzy pracowali w terenie. Prócz tego, gdy niektóre tereny czy części kraju miały dosyć opracowań lub chętnych informatorów w terenie, dla innych obszarów wiadomości były skąpe i wydobywanie ich natrafiało na większe trudności.

Niezwykle to i tak niezbędne wydawnictwo dla wszelkich badań naukowych zawdzięczamy ludziom, którzy mimo szalnych trudności dzieło to doprowadzili do końca. Dziś jednak już niestety „Słownik“ jest już przestarzały i nie odpowiada wymogom naukowym chwili obecnej. W tym celu i mając na uwadze te względy, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze postanowiło rozpocząć wydawanie nowego słownika geograficznego w oparciu na starym materiale, lecz dostosowanym i uzupełnionym według wymogów współczesnej nauki. W wyniku prac zarządanego Komitetu Redakcyjnego, zaczęto wydawać nowe zeszyty poszczególnych tomów „Słownika“ pod redakcją prof. St. Arnolda, wybitnego specjalisty w dziedzinie geografii historycznej. Praca ta tak ważna i odpowiedzialna, została przerwana przez agresję niemiecką w 1939 roku. Wyszło 15 zeszytów.

*) Wł. Chojnacki. Słownik polskich nazw miejscowości w b. Prusach Wschodnich i na obszarze b. Wolnego Miasta Gdańska wg. stanu z 1941. Wydawnictwo „Instytutu Zachodniego, Poznań 1946, str. 178, 8-ka, cena 200 zł.

Warszawa — to ten właśnie grób z cegły!! Jest tych krzyży zaledwie trzy, ale... przecież i Moc Najwyższa objawi się też w Trójcy wszechświata, jako nieskończoność, bezkres, niesmiertelność... Alegorycznie odpowiada ten bezmiar — ilości ofiar Narodu Polskiego! Ale — tam nieco wyżej — rumowisko kończy się i na szczycie jego, spłaszczony — leży obnażony, odarty do cna, nawet bez przepaski na biodrach — jak dusza polska w dobie obecnej — święte ciało Zbawcy świata! Za nim — już tylko mglista jasność... Jutra, prostopadłe spływająca z niebios — to... Przyszłość Ludzkości. — I pośrodku tej spłaszczonej krąg błędogo jeszcze słońca, przez które przeliera Monstrancja... Wiary, tej najwyższej potęgi wszechświata — mocniejszej od najgłębszej myśli ludzkiej, to samo słońce świeciło w dekoracji Grobu Pańskiego i w zeszłym roku, ale — oto drobny, a decydujący szczegół — dodatek: z przymkniętych oczu leżącego Chrystusa wytryskuje promienie... niewidne i sięgnąwszy słońca, ujawniają się dwiema potężnymi strzałami, stanowiąc przedłużenie wzroku Tego, który rychło zmartwychwstanie. I właśnie te jeszcze zamglone, ale już mocarne — wyraźne dla ducha — promienie są symbolem chwili bieżącej, momentu dzisiejszego, bo... oto rychło już, niebawem, wnet — rozwieje się mgła i w ślad za tą parą zwiastunów promieni, zabłyśnie w całym przepychu boskiej gwiazdy — Słońce Pokoju.

Takie hasło Warszawie i Polsce przez naszych akademików podaje Sztuka — Ars! — Wierzymy im, ponieważ natchnienie artystyczne jest głosem bożym — „Vox Dei“, a pierwsza połowa tego zawołania — „vox populi“ — mówi to samo, bo — pomimo wszystko — z oblicza szarego tłumy tchnie dziś spokój ufności...

Felix M. Jacyna

być systematycznie wypracowany w szczegółach w zakresie dociekań historycznych i lingwistycznych w pierwszym rzędzie. Pracę tę trzeba obliczyć na do- brych kilka lat. „Instytut Bałtycki“ zapowiedział już w ślad za słownikiem Wł. Chojnackiego słownik doskonały, opracowany przez prof. Taszyckiego. Praca ta będzie prawdopodobnie skorygowaniem wielu błędów, zawartych w pierwszych zeszytach „Słownika Geograficznego Ziemi Polskich“, wydawanego przed wojną przez prof. Arnolda, z którego korzystał w pierwszym rzędzie Chojnacki. Niedociągnięcia te będzie można uzupełnić na końcu przedsięwzięcia wydawniczego w specjalnych Suplementach. Cenne wykazy ks. Kozierowskiego muszą ustąpić też miejsca nazwane trafniejszym i bardziej doskonałym, popartymi szerokimi studiami Komisji Nazw Geograficznych Polskiej Akademii Umiejętności. Gdy ten etap zostanie już poza nami, należałoby przystąpić do wydawania „Słownika Geograficznego Państwa Polskiego“ wg. planów przedwojennych, po zmontowaniu odpowiedniego aparatu naukowego i technicznego. Jest to drugi wielki etap pracy, który stoi przed nauką polską w najbliższej przyszłości, a których realizacja ze względu naukowych i politycznych jest aż nadto oczywista.

J. Ant.

**Wszystkim
Współpracownikom,
Czytelnikom i Sympatykom tygodnika
„DZIŚ I JUTRO“
przesyłamy serdeczne życzenia
pogodnych Świąt
REDAKCJA**

**Następny numer ukaze się
za 2 tygodnie (z datą
5 maja 1946 r.)**

Prace ks. Kozierowskiego i Wł. Chojnackiego są torowaniem dróg do nowego wysiłku uczonych polskich, który musi

Maria Kędzierzyna

Odstraszające pozory

Zdarza się czasem, że jeżeli coś jest dobre, to człowiek chce jeszcze lepiej. Wtedy może „przedobrzyć”, czyli mówiąc bardziej po literacku „przeciągnąć strunę”. Wtedy zamiast poprawić, psuje. Robi to wrazenie, jakby jakieś złe a psotne duchy zaniepokojone powstaniem rzeczy dobrej czy pięknej, kusily człowieka: A popraw jeszcze! A doloż coś! Wyciągnij co się da!

Wtedy ów, czy owa, skuszona poępną wizją doskonałości dzieła, bez autokrytycyzmu „poprawia, dokłada, wyciąga”.

W rezultacie, na dziele bez skazy, te skazy dopiero teraz powstają.

A złe duchy chichotają z radości, że unieszkodliwiły rzecz dobrą i pożyteczną.

Tak się stało z książką dla dziewcząt „Szkoła Narzeczonych”, Marii Krüger (wyd. Luthana, Warszawa).

Możemy sobie odtworzyć scenę kupowania książki.

Wchodzi do sklepu jakaś dostojna pani. — Czy mogę dostać coś dla dorastających panienek?

Usłużny młody człowiek podsuwa z uśmiechem.

Mama, czy ciocia bierze do ręki ową książkę, patrzy:

— „Szkoła Narzeczonych”? Cóż to takiego? Ach, jaka okładka: panienka z dzieckiem na rękach! Ładne rzeczy!

Młody człowiek zapewnia z przekonującym uśmiechem:

— Ale to podobno dobra rzecz.

Mama, czy ciocia chce się dać przekonać. Więc jeszcze jedna próba. Otwiera książkę na końcu, patrzy na ostatnie zdanie. Wiadomo, na końcu zawsze jest najważniejsze.

Ze zgrozą czyta:

„Teraz było już zapóźno na teorię, bo oto objęto ją mocne ramię, a na ustach poczuła pieczęć pierwszego pocałunku”.

Skandal! Dziękuję!

Książka zamknięta energicznie, pada ruchem zdecydowanym jak najdalej od kupującej.

Ciocia czy mama wychodzi urażona z księgarni.

— Boże, co za czasy! Nie można dostać nic porządnego dla dziewczęcia.

W rezultacie wchodzi do antykwarni i kupuje „Anię z Zielonego Wzgórza” i tom drugi „Anię z Avonley”. — Wiadomo przynajmniej, co to jest. Książka moralna, przyzwolita, nadająca się dla panienek. Nic nie szkodzi, że egzemplarz brudny, wyswiechtany, rozsypany się. Ale zało treść czysta, zasady mocno postawione.

Tak, macie rację mamy i ciocie. Jąbym może to samo zrobić, gdybym miała córkę szesnastoletnią i gdybym była mniej ciekawa, niż jestem.

Ale że jestem bardzo ciekawa, a mój wiek zabezpiecza mnie od zepsucia, więc wzięłam bez obawy tę książkę.

Przeczytałam. I mogę zapewnić wszystkie mamy i ciocie — że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Nie jest to książka na miarę „Ani z Avonley”. Autorce wcale nie chodziło o poruszenie zagadnień natury wewnętrznej.

Jest to porostu bardzo dobrze napisana historia trzech lat w Szkole Gospodarstwa Domowego.

P. Maria Krüger wcale nie miała na myśli sprowadzać na manowce młodocianych czytelników. Całkiem przeciwnie. Chodziło jej o zainteresowanie małych kobietek kobiecimi sprawami. W ogromnie zachęcający sposób przedstawia zajęcia kulinarne, dojenie krów i t. p. Bardzo subtelnie porusza, jeszcze drzemając w sercach dziewczęcych, strunę uczuć macierzyńskich.

Tendencja książki jasna i uczciwa: jeżeli kobieta nie ma specjalnych zdolności, czy zainteresowań intelektualnych, powinna się zająć wiedzą o wzorowym prowadzeniu domu.

Autorka nie wmawia w swe młode czytelniczki, że muszą wyjść za mąż. Owszem, pokazuje, jakie samodzielne prace będą mogły podjąć po zakończeniu Szkoły Gospodarstwa Domowego: a więc stanowiska kierownicze w hotelach, pensjonatach, wielkich mleczarniach, restauracjach, stolówkach, albo jako zastępczynie pań domu.

Książka napisana bardzo dobrze. Nie nuży swą tendencją, ale przeciwnie, bawi. Pełna wesołości, pogody i uczucia jest naprawdę miłą i pożądaną lekturą dla dziewcząt.

— Hm — mrukna z powątpiewaniem mamy i ciocie. — Jak to? A ten tytuł? A panna z dzieckiem na okładce? A to zakończenie?...

To jest właśnie owo „przedobrzyenie”, podszeptane autorce przez złe duchy.

Autorka prawdopodobnie chciała uczynić swą książkę reklamową. A wiadomo, że na tym niedoskonałym świecie pociąga wszystko to, co pachnie skandalikiem, czy romansikiem.

Nawet, niestety, nasze niewinne dziewczętka noszą w sobie zawiązki owych, niezdrowych zainteresowań. W tym miejscu autorka popełniła błąd. Liczyła na to że jej książkę będą kupować same dziewczęta, a nie mamy, czy ciocie. Chciała je tak zwabić podstępem. Podstęp się nie udał.

Bo do księgarni nie wbiegają wiotkie dziewczynki, lecz wkraczają poważne mamy.

I skutek z tego taki, że jeden właściciel księgarni żalił mi się z rozpaczą:

— Z początkiem grudnia wzięłam pięćdziesiąt egzemplarzy tej książki i teraz, do końca stycznia sprzedałam... jeden. Ludzie się boją.

Więc zabewniam (nie dlatego, żeby pomóc księgarzowi), że nie trzeba się bać „Szkoły Narzeczonych”. Bo to tylko takie straszne z wierzchu.

Ponieważ: 1) Tytuł „Szkoła Narzeczonych” jest żartobliwą nazwą Szkoły Gospodarstwa Domowego.

2) Paniąka z dzieckiem, to zupełnie bez zarzutu uczennica tej szkoły. Dziecko, to cyganisko, podrzucone owej paniące w pociągu, przez lekkomyślną matkę, cyganekę.

Wśród książek i wydawnictw

Tragiczną spuścizną sześciu lat przemocy i gwałtu jest istnienie w społeczeństwie wzajemnej nienawiści. Nie jest ona siłą pozytywną, nie jest gwarancją surowości odwetu i nie może być żadną przyczyną dokonujących się przemian. Brak dostatecznej troski o rozładowanie tych nastrojów każe przypuszczać istnienie fałszywych ocen zjawiska i niedostrzeżenie, jakie stwarza ono tragedie wewnętrzne. Wzniesiona w okresie okupacji pieśń, często pieśń nędzara przy braku troski o właściwy, moralny stosunek człowieka do człowieka — może grozić drugiemu nędzarniwoi choćby tylko za to, że los zachował mu mieszkanie lub dał mniej zdarte „ciuchy”.

Przyczyna istotnych, głębokich i twórczych przemian nigdy nie może być nienawiść. Ani zawiść, ani kształtujące się na różnych przejawach nienawiści instynkty ludzkie nie wyczerpują pojęcia radykalizmu społecznego. Konieczność i kierunek przemian społecznych wyznacza miłość. Ona dopiero gwarantuje trwałość przemian i usprawiedliwia brutalną twardość naprawiania krzywd.

Tych prostych w gruncie rzeczy spraw nie mogą uchwycić ludzie płytki, zamagając atmosferę przeżywanych przez Naród istotnie ważnych przemian bólem nienawiści i niejasnych w treści terminów. Szkoła też dla nich właściwego stosunku do spraw społecznych, powagi z jaką należy je traktować, a cennym źródłem dla każdego, kto chce badać istotny mechanizm przemian społecznych, jest nowo wydana książka prof. Pignonia *).

Prof. Bujak, poprzedzając przedmową „wspomnienia młodości” kolegi z Uniwersytetu Jagiellońskiego, widzi w nich wskazówkę i pomoc „dla nowych pokoleń inteligencji ludowej w kształtowaniu swych charakterów w duchu bliskim autorowi”. Wartości wychowawcze pamiętników podkreśla także ks. Piwowarczyk w obszernej recenzji w Tygodniku Powszechnym Nr 9 (50).

Rozpatrywana z tej strony książka prof. Pignonia, to historia tegiej jednostki walczącej ze światem i samym sobą o najwyższe cele cywilizacji chrześcijańskiej. W miarę czytania wyłania się z kart wspomnień ciąg dni i lat zapelnionych rzetelnym wysiłkiem nad zdobyciem wiedzy i siły moralnej. Imponujące są te spokojne, a uparte i pogodne zmagania syna podgórskiej wsi, z nędzą, samotnością, nieufnością krakowskiego środowiska i trudnościami studiów.

Przy tej lekturze zabawni, mi się stają narzekania współczesnych młodych polonistów na kłopoty uniwersyteckie. Wydaje się, że nie potrafili oni ocenić ile trudniejszą była kariera naukowa 40 lat temu.

Wogóle mimowoli powstaje sugestia, że autor należał do pokolenia twardszego niż dzisiejsze. Sumienne studia, walka o byt materialny nie przeszkadzały mu w intensywnej pracy organizacyjnej, a radykalizm społeczny i prądy epoki nie oderwały od nurtu kultury narodowej i ideałów cywilizacji chrześcijańskiej. Warto się zastanowić ile sił i hartu musiał mieć dwudziestoparoletni chłopak, by zmieścić w swoim dniu, rozporządzanym o 6 rano mszą świętą, naukę, pracę zarobkową, wykłady i czynny udział w akcji społecznej. Ile wytrwałości i mocy by w 6 lat osiągnąć tytuł doktora?

Jest coś żywiłowe w tym parciu naprzód jednostki mocnej, która sama sobie wszystko zawdzięcza i sama kształtuje swoją i cudzą rzeczywistość. Urok takiego pochodu musi uderzyć każdego, kto przejął od cywilizacji chrześcijańskiej wiarę w wolną wolę człowieka i nieograniczone możliwości jego ducha. W tym też sensie „Z Kamborni w świat”, to istotnie wzór wychowawcy i to wzór również chyba cenny w plutarchicznych czasach, jak w obecnej dobie odbudowującego się kraju.

Znaczenie tej skromnie wydanej książki jest w rzeczywistości Polski powojennej szczególnie duże i zupełnie specjalne. Omówiona rola drogowca wychowawczego dla coraz szybciej narastających pokoleń inteligencji ludowej bynajmniej tego znaczenia nie wyczerpuje. Na-

3) Erotyczne zakończenie jest jedynym kwiatkiem tego rodzaju na przestrzeni całej książki. Owszem, uczennice szkoły, dorastające panny, spotykają się z młodymi ludźmi. Nawet niektóre z nich mają starających się. To jest rzecz zupełnie naturalna. Jednak autorka nie opisuje żadnych flirtów, ani nic takiego, co by się nie mogło dzieć na oczach najbardziej nietolerancyjnej mamy — a nawet babei. Na końcu powieści pewien sympatyczny lotnik proponuje bohaterce, która jest absolwentką szkoły, żeby została jego narzeczoną. Autorka jest do tego stopnia cnotliwa, że nawet owemu konkurentowi nie pozwala wymówić słowa „kocham”. Bohaterka zaś nie wie wcale, co ma odpowiedzieć. Na dowód, cytat:

— „...Na to Marianna kiwnęła głową, że tak, że chyba Marek ma rację. I zaraz uprzytomniła sobie, że to wielka szkoda, że w programie szkolnym Jagodnego nie było wykładów o zachowaniu się podczas oświadczeń”.

Twierdząc stanowczo, że tym zdaniem autorka powinna była zakończyć. Bo następnie, to już to fałszywe, które tak szkodzi rozchodzeniu się książki.

Więc jeszcze raz zapewniam najuroczyściej, że książka jest dobra i pożyteczna. Szumi radością i pogodą, nasuwa młodym czytelnikom wiele zdrowych myśli.

Warto ją kupić — mimo tych okropnie niemoralnych pozorów.

Maria Kędzierzyna

Postawa miłości

wet przepiękna czystość życia duchowego autora, jego stosunek do Boga i głęboke uwagi o modlitwie nie określają jeszcze wszystkiego. To co w pracy prof. Pignonia podkreślić należy specjalnie dziś, to postawa miłości narodu i kultury polskiej. Omawiając zagadnienia socjalne autor nie zamyka oczu na nic, nie boi się żadnego problemu. Równie śmiało pisze o „rabacji” w 46 r., jak o czasach sanacyjnych i niedociągnięciach wiejskiego kleru i zaciągach między wsią a dworem. A przecież jest w tym wszystkim zdrowy nurt troski o całość.

„Z Kamborni w świat” to niemal program. Warto zapoznać się z projektem tworzenia rolniczych spółdzielni rodzimych, albo uwagami o życiu politycznym wsi. Warto zdać sobie sprawę na wzór autora, jakie jest znaczenie religii dla zwartości społeczeństwa (str. 67). Warto przede wszystkim nauczyć się od niego jak osiągnąć ciągłości kultury narodu mimo społecznego radykalizmu, reformatorstwa, a w oparciu o szeroki pogląd na świat.

W dzisiejszych czasach u progu nowej niepodległości, gdy na stosunku człowie-

ka do człowieka ciąży tyle nienawiści — książka prof. Pignonia wprowadza w inny świat. W błogosławioną krainę chrześcijańskiej „postawy serca”.

Chęci podzielenia się uwagami o książce „Z Kamborni w świat” nabrałem już w chwili jej czytania. Krystalizacja jednak zamiaru nastąpiła nieco później, gdy starając się nabyć ją na własność nie mogłem znaleźć jej w żadnej z warszawskich księgarni. Wyczerpana? — Nie, najczęściej wogóle niesprowadzona, niezmana.

To zmusza do zastanowienia. Czyżby społeczeństwo nie umiało odróżnić ziarna od plew? Nie wiem.

Wiem natomiast, że wspomnienia jednego z najwybitniejszych polskich uczonych, któremu danym przy tym było uczestniczyć w przemianach jakie przeżywała wieś polska w pierwszej ćwierci XX w., w dobie aktualizacji radykalizmu społecznego powinny znaleźć jaknajliczniejszych czytelników i bardzo wielu naśladowców.

Mieczysław Kurzyński

Sprawy Mazur i Warmii

Cel tej książki *) autor streszcza w przedmowie. „Chodziło mianowicie o to, aby z ludźmi, których interesować mogą i powinny Prusy Wschodnie, podzielić się pewnymi rezultatami dotyczącymi studiów przeprowadzanych zaiste nie po myśli tych, którzy przez 700 lat nad Pręgą władali. Oni wszystko inaczej widzieli niż my i wszystko inaczej niż my, Polacy, chcieli urządzić. I dlatego „prawda” o Prusach Wschodnich musi być dopiero odzyskana i na polski język wyłożona”...

„To jeden z motywów ukazania się mojej książki, ale jest jeszcze i inny. A mianowicie owa ze strony polskiej przeżająca pustka na polu wydawnictw o Prusach Wschodnich, dopełniona jeszcze przez celowe i przemyślane wprost bezprzykładne zniszczenie przez barbarzyńce niemieckie ogromnej większości polskich księgozbiorów, które sprawia, że zdobycie przeważnej części łatwych niedgdy do znalezienia rozpraw i druków obecnie natrafia na olbrzymie wprost trudności. Niepozwała to na poznanie wielu kwestii, jak niemniej szybkie i równocześnie dostatecznie gruntowne poinformowanie się w zakresie spraw, które obchodzą mogą i muszą zarówno polskiego administratora, jak polskiego wychowawcę, polskiego żołnierza, polskiego ekonomistę, a wreszcie polskiego polityka”...

Przyznacząc z góry musimy, że słowa te są tak istotne, że nie mamy nic od siebie do dodania. Faktem jest, że pierwsze ekipy polskie obejmujące w posiadanie w zakresie administracyjnym obszary północnego Mazowsza, Warmii i dolnego Poziemia (Ziemia Malborska) jechały z... reportażem Melchiora Wańkowicza p. t. „Na tropach Smentka”, gdyż nie można znaleźć pod ręką nic co dawało gruntowniejszy obraz stosunków panujących za ówczesnym kordonem. Istnieją wprawdzie aż 22 pozycje prac o Prusach Wschodnich wydane przez Instytut Bałtycki przed wojną nie tylko w języku polskim, ale nawet i angielskim, lecz były one nieosiągalne w tym okresie czasu. Reszta dotyczyły one w większości wypadków zagadnień historycznych, etnograficznych i demograficznych. Brak natomiast było prac omawiających te ziemie z punktu widzenia geograficznego, gospodarczego i społecznego co zażądał uczyniła praca prof. Srokowskiego, którą omawiamy obecnie.

Druga połowa XIX wieku, okres silnych dążeń pozytywistycznych naszego narodu nie wydał ani jednej pracy naprawdę poważnej o tych ziemiach oprócz wysiłków Wojciecha Kętrzyńskiego, który był silnie zainteresowany tymi ziemiemi przede wszystkim ze względów uczuciowych prócz celu naukowego, mimo wszystko dość jednostronnego. Reszta prac prócz małej ro-

boty Dominika Szulca p. t. „Ziemia Sambjińska” (!) wydanej w pismach zbiorowych autora (W-wa 1853), to w przeważającej części lekkie opisy czy sprawozdania z podróży o charakterze raczej „reportażowym” w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Na pierwszy ogień idzie tu praca A. M. Grabowskiego p. t. „Podróż do Prus” (Paryż 1859) zawierająca niezwykle ciekawe momenty natury uczuciowej i rzeczowej nadająca się jeszcze dzisiaj do udostępnienia na drodze nowej edycji. Drugą jest drobna robota F. S. Dmochowskiego p. t. „Prusy Królewskie” (W-wa 1858 obejmująca w stosunku do ziem postulowanych tylko ziemię malborską. W piękne momenty uczuciowe wprowadza nas drobna robota E. hr. Tyszkiewicza p. t. „Wycieczka do Warmii” (W-wa 1873) zwłaszcza w odniesieniu do Liebarka mazurskiego siedziby biskupiej naszego Krasickiego. St. Tarnowski napisał spory tom p. t. „Z wakacji”, gdzie w sposób niezwykły, z wielkim temperamentem pisarskim opisał wiele ciekawych faktów z tej ziemi prawie u nas nie znanej. Nudną wreszcie pozycją, lecz bogatą w materiał jest dłuższa robota Smólskiego p. t. „Z wycieczki na Mazowsze Pruskie” (1899), która posiada szereg ciekawych nawiązań. Dorobek ten skromny, ale tak bogaty w spostrzeżenia prosi się o przypomnienie, o wydobycie go na światło dzienne w obecnej chwili, co jest zamierzeniem autora niniejszej recenzji ze względu na motywy przytoczone powyżej przez prof. Srokowskiego. Wydobycie tu przede wszystkim będą pamiętki polskie oraz folklor jako zagadnienie naczelne. Poza małymi wyjątkami o ziemi warmińskiej i północnym Mazowszu zupełnie zapomniano mimo, że była to ziemia budziła polskiego ruchu narodowego i politycznego na Mazurach ks. G. Gizewiusza († 1848), oraz K. C. Mrongowiusza autora słownika polskiego. Nie sposób tu też nie wymienić biskupów warmińskich, jak Hozjusz, Kromer, kardynał Batory, Rudnicki, Szyszkowski, Leszczyński, Krasicki i inni, którzy podtrzymywali polskość na tej straconej podówczas placówce. Tam do 1 września 1939 roku mimo najstraszniejszych prześladowań ukazywał się dziennik „Gazeta Cieszyńska”, dwa razy w tygodniu „Mazur” i miesięcznik „Głos Ewangeliczny”. W chwili obecnej prasa nasza poświęca wiele miejsca ziemiom leżącym nad Odrą i Nysą, natomiast o okręgu mazurskim nie się nie pisze poza małymi wyjątkami. Zamiast zainteresowania tymi ziemiemi wiadomości nadchodzące z tamąd są czasem niepokojące. Według danych z 400.000 Mazurów i Warmiaków. Jak wiemy z obecnych danych statystycznych pojętych z grupsza naliczyć można na tych terenach około 100.000 naszych rodaków z za niedawnego kordonu, w tym wiele kobiet i starców. Reszcie usunęli Niemcy w miesiącach zimowych 1945 roku, przez planową ewakuację w głąb Niemiec. Naczelnym preżeto postulatem winna być repatriacja tej 3.000.000 rzeszy Polaków z Niemiec na ich rodzinne pie-

*) Stanisław Pigoń: Z Kamborni w świat, wspomnienia młodości, z przedm. Franciszka Bujaka, Kraków, Sp. Wyd. „Wies” 1946. „Biblioteka dziejów i kultury wsi”, t. 10, str. 247.

*) Srokowski Stanisław: „Prusy Wschodnie”. Studium geograficzne, gospodarcze i społeczne. Nakładem Instytutu Bałtyckiego. Gdańsk — Bydgoszcz — Toruń 1945, str. 302 + 25 mapek.

lesze. Wobec niezajętych i nie zagospodarowanych wsi i osad na pojezierzu mazurskim i Warmii, po których jeszcze do późnej jesieni wałęsały się bezpańskie psy żyjące padliną, sprowadzenie Mazurów i Warmiaków z Niemiec i ochronienie ich przed ostateczną germanizacją jest rzeczą aż nadto oczywistą i konieczną. Naturalnie musimy podchodzić do tego zagadnienia niezwykle ostrożnie i z przemyślanym planem działania jak i przez zastosowanie pewnych kryteriów w ocenie materiału ludzkiego. Ktokolwiek jechał przez te ziemie samochodem nie zapanował widoku marnującego się dobra w powieranych i splondrowanych chatkach i domach, obojętnie czy w okolicach Białoszyca, czy takiego Pasłęka. Jest rzeczą karygodną, że nie stoiemy czasem na wysokości zadania nawet w stosunku do pozostałych mieszkańców północnego Mazowsza i Warmii jak świadczą głosy prasy różnych odcieni. Wykazujemy biurokratyzm oraz w wielu wypadkach nie rozumiemy istotnych problemów ziemi warmińskiej i mazurskiej. Jest przeto książką prof. Srokowskiego doskonałym wprowadzeniem w to zagadnienie od strony formalnej, gospodarczej i historycznej. Winna stać się niezbędnym podręcznikiem w każdym najniższym nawet urzędzie administracyjnym w terenie, na tym obszarze. Co więcej, może być wskazane by stała się kompendium w zakresie wiedzy o tych terenach w przymusowym egzaminie dla personelu administracyjnego w woj. olsztyńskim. Takiego egzaminu winno Ministerstwo Administracji Publicznej wymagać za pośrednictwem podległych mu urzędów od każdego pracownika administracyjnego. Być może wtenczas nie będziemy popełniać błędów przeciwko polskości tych ziem.

J. Ant

Książki dla dzieci

Artur Opmann (Or — Ota) „Legenda Warszawska”, wyd. E. Kuthana, Warszawa, 1945, str. 85, rysunki M. Mackiewicza i W. Kalickiego.

Gdy się bierze do ręki „Legendy Warszawskie” zdumiewa przede wszystkim szata zewnętrzna i niezwykła staranność wydawnictwa, zda się urągająca trudnościom wydawniczym ostatniej chwili. Wydana tak estetycznie, w bardzo odpowiednim czasie przypomni jednym dzieciom utracone piękno naszej stolicy, innym, które go nie widziały i nie zobaczyły — uświadomi, ile czaru i poezji kryło życie starej Warszawy związane z licznymi jej zabytkami.

Proza i poezja Or—Ota odolega może od tej formy, która dziś najbardziej bierze dzieci — jest ona zbyt emfaticzna i atrakcyjność książki zawiera się raczej w treści i bardzo miłych ilustracjach, ale tym niemniej dzieci zaciekać.

Książka posiada pewne drobne nielogiczności, właściwe dawnemu typowi pisania, gdzie morał górował nad formą, a które nasze ultralogiczne dzieci podchwytują natychmiast. I tak np. w chwili gdy uczestnicy porwania Syreny rozważają ze sobą — młoda czytelniczka spytała: „jak mogli siebie słyszeć, skoro zatkali uszy woskiem, by nie ulec prośbom Syreny?”.

Ale dobrze przypomnieć sobie, że Warszawa posiada legendy — to wiązuje wrażliwą duszę dziecka czasami ściślej niż rzeczywistość — a właśnie miłość do naszej stolicy uczyniła z jej dzieci bohaterów.

Jan Brzechwa „Pan Drops i jego trup” wyd. E. Kuthana, Warszawa 1946, rysunki J. M. Szancer.

Pan Drops i jego trup — to książeczka dla dzieci małych. Książki dla tego typu czytelników są ogromnie potrzebne, wobec zupełnego zaniknięcia z okien wystawowych książek wydawanych przed wojną, co tłumaczy się tym, że wszystkie najlepsze i najbardziej przystosowane do tego wieku książki były wydawane w ograniczonych ilościach przez małe wydawnictwa (np. doskonałe książki Hanzy Januszewskiej — wydawane przez Bluszcz — kiedy doczekają się nowych wydań?).

Brzechwa — choć będę powtarzał to, co o nim mówią — posiada specjalnie porywające dzieci (zresztą i dorosłych także) rym i rytm. Treść książki choć nieprawdopodobna, właśnie dzięki jak skrawemu nieprawdopodobieństwu dziecko interesuje, a równocześnie logika losu wynagradzającego biednemu Dropsovi krzywdę, którą doznaje od braci, zapakują poczucie sprawiedliwości małego czytelnika.

Ilustracje czarujące — zrobione z dużą umiejętnością wydobywają z postaci zwierzątek możliwej dozy komizmu.

Na koniec uwaga pod adresem autora: czyżby to był wynik obecnych prądów zastąpienie bajkowej postaci dobrego króla przez wojewodę i czy rzeczywiście nie będzie frapować małego czytelnika rozległość wojewodzińskiej władzy i dłu gotrwałość „panowania”?

Książka stanowi przykład jak przy marnym papierze i trudnościach wydawniczych można uzyskać estetyczną całość, przystosowaną do potrzeb małego czytelnika.

Mik.

Projekt prof. Hempla

Prof. Politechniki Warszawskiej, p. Stanisław Hempel wystąpił w 12-tym numerze „borowej” Skawy z projektem prowizorycznej, ale solidnej (stalowa konstrukcja) odbudowy mostu Kierbedzia.

Projekt jest rewelacyjny, frapujący nawet laików technieniem wiary w możliwość urzeczywistnienia i nadzieją, że przecież wreszcie Warszawa się odbuduje. Prof. H. podejmuje się oddać most do użytku w cztery miesiące, to znaczy do października b. r. kosztem 25 mil. zł. zamiast 250 mil., które pochłonęła by odbudowa stała, możliwa do zrealizowania dopiero w końcu przyszłego dziesięciolecia. Włącza też do swoich zamierzeń koncepcję wywózki gruzu śródmieścia i Starówki za pomocą zmontowanej na moście kolejki linowej, co w porównaniu z zastawieniem trudności i kosztów transportu innymi środkami lokomocji, wydaje się jedynie realnym projektem.

Spodziewamy się, że czynnik urzędowe zainteresują się stroną techniczną zamierzenia i doprowadzą je do skutku. Z naszego punktu widzenia ważne są dwie rzeczy. Projekt prof. Hempla jest wyrazem najwłaściwszej postawy społecznej. Na gruncie pracy zawodowej (a nie jakiegoś abstrakcyjnego społeczeństwa) stwarza realne możliwości ulepszenia życia ludności Warszawy.

Drugim interesującym nas w tej sprawie elementem jest sam artykuł. W stosunku do abstrakcyjnych komunikatów BOS-u na temat przyszłości stolicy, stanowi on przełom. Nauczono konieczności wojny społeczeństwo warszawskie i polskie umie liczyć i chce wiedzieć nie tylko co się robi, ale kiedy, jak, a przede wszystkim — za co. Apelowanie o zaufanie na kredyt nie pomoże. Zamiast propagandy (?) odbudowy przydało by się nieco cyfr. Oby jasny, zrozumiały i konkretny artykuł prof. Hempla był w tym względzie początkiem. Oby rozszerzył horyzont.

M. K.

Kronika kulturalno-naukowa

Nowy numer „Przeglądu Zachodniego” przynosi ciekawą dyskusję na temat nomenklatury naukowych i potocznych w b. prowincji wrochodno-pruskiej. Zdajemy sobie dobrą sprawę, że używanie nazw niemieckich nie powinno mieć miejsca, że winniśmy stworzyć sobie własne terminy zarówno w mowie potocznej, jak i w nomenklaturze naukowej. Termin „Prusy Wschodnie” należałoby zastąpić innym, bardziej trafnym i doskonalszym. Historyczne pojęcie Prus Wschodnich musi zniknąć z mapy aktualnej.

W ostatnich czasach starano się nazywać te tereny dwoma rozczłonkowanymi nazwami, a mianowicie, starano się zwać te ziemie poprostu Mazurami i Warmią. Zdajemy sobie jednak sprawę z niedokładnego i nie pełnego ujęcia geograficznego i historycznego takiej nazwy nomenklaturowej. W artykule dyskusyjnym p. t. „Pomorze czy Prusy”, Maria Kiełczewska tak pisze: „Pomorze przez późniejsze wydarzenia polityczne uległo wcześniej rozbięciu na część wschodnią i zachodnią. Pomorze wschodnie, nad Wisłą położone, złączyło się ściśle z Polską, tworząc integralną część państwa polskiego. Pomorze zachodnie pozostało od XII wieku poza zasięgiem terytorium państwowego Polski. W historycznej nomenklaturze Pomorze wschodnie oznacza Pomorze nadwiślańskie, nazywane również czasem Pomorzem polskim”.

Dlatego też nie będzie naszym zdaniem właściwym i pokrywającym się zresztą z intencjami autorki zastąpienie nazwy b. Prus Wschodnich nazwą Pomorze Wschodnie, jak to ostatnio zaczyna być używane na mapach. Północne Mazowsze pruskie i Warmia miały też i inną nomenklaturę. Piszę przeto Kiełczewska: „Źródła historyczne, pomniki polskiej przeszłości historycznej i kulturalnej są pełne nazw jak: stany pruskie, miasta pruskie, Prusy Książęce czy nawet Prusy Królewskie. Długie wieki ujęły zanim książkę brandenburski

przywłaszczył sobie nazwę dla swojego królestwa, była ta nazwa w użyciu w państwie polskim jako nazwa geograficzna, określająca ziemie dawnych Prusów, będąca istotną częścią składową Polski, a nie tylko ostatni jej tragiczny okres — tradycja przemawia za utrzymaniem nazwy Prusy na mapie w chwili bieżącej”.

Jest więc tylko ziemia pruska, która została podzielona na południową część i północną litewską. Teren Prus zdaniam naszym, który przypadł w udziale Polsce należałoby nazwać Prusami polskimi, zaś teren b. Prus Wschodnich z Pregola i Królewem Prusami litewskimi, co się pokrywa z intencjami autorki.

Dla wyjaśnienia i jako jeden więcej głos w dyskusji nad ustaleniem ostatecznej nazwy dodamy, że podział ten ma też głęboki sens nie tylko historyczny, ale także i prehistoryczny. Na terenie Prus polskich występuje w pewnym okresie t. zw. grupa mazurska kultury łużyckiej, mająca analogie z terenem całej Polski i środkowej Europy i pokrywa się terytorialnie z późniejszym zasięgiem Słowiańszczyzny. Jak wykazało ostatnio paru uczonych polskich, kultura łużycka ma głęboki związek z wspólnotą bałto-słowiańską. Być może, że właśnie na terytorium zasięgu grupy mazurskiej kultury łużyckiej, występującej na terenie Prus polskich nastąpiło rozdzielenie wspólnoty bałtycko-słowiańskiej, którego widomym znakiem jest być może kultura kurhanów wschodnio-pruskich, z której w ciągu długich wieków wykrystalizują się Prusowie. Prehistoryczne związki tych ziem z resztą Polski są widoczne. Jest to terytorium kultury łużyckiej, z której wyszli i Słowianie. Oby dyskusja, którą zapoczątkował „Przegląd Zachodni” wydała jak najlepsze owoce i by termin najwłaściwszy wszedł jak najszybciej do podręczników szkolnych i był uwidoczniiony na mapach, jako właściwa nazwa geograficzna.

J. Ant.

Życie muzyczne w Warszawie

Ruch koncertowy słaby bardzo w lutym i na początku marca — w ostatnich czasach znacznie się ożywił. Wprawdzie Dyrektor Szkoły Muz. im. Kurpińskiego zmuszony był zaniechać chwilowo koncertów z powodu braku zainteresowania się nimi szerszego ogółu, lecz Centr. Biuro Koncertowe mimo trudnych warunków finansowych nie ustaje w pracy i dzięki temu oprócz stale organizowanych przez Wydz. Kultury i Sztuki Zarządu Miejsk. popularnych koncertów symfonicznych, a także rzadkich, lecz pod względem wykonawczym stojących na wysokim poziomie, koncertów Reprezentacyjnej Polskiej Orkiestry Ludowej, inspirowanych przez Tow. Krzewienia Polsk. Muzyki Lud., mamy od czasu do czasu dość ciekawe imprezy muzyczne, uzupełniane jeszcze przez przypadkowych organizatorów.

Tak więc w ostatnim okresie miesięcznym odbyły się w Warszawie poza koncertem muzyki operetkowej Miejskiej Orkiestry pod dyrekcją St. Nawrota, z udziałem Karwowskiej i Popiawskiego, powtórzoną dwa razy w różnych dzielnicach miasta, 3-ci koncert Orkiestry Ludowej, 4 recitale śpiewacze, recital fortepianowy, 2 dobroczynne koncerty zbiorowe i koncert jubileuszowy chóru „Harfa” z okazji 40-to lecia działalności.

3-ci występ Orkiestry Ludowej pod dyr. St. Wisłockiego utwierdził nas w przekonaniu, że zespół ten należy do bardzo udanych. Poziom swój osiągnął on w błyskawicznym tempie, bo w niespełna pół roku i zawdzięcza go głównie młodemu dyrygentowi Wisłockiemu. Charakterystyczną cechą sztuki dyrygenckiej Wisłockiego jest wielka oszczędność ruchów przy równoczesnej ich jasności i sprężystości. Precyzja orkiestry jest duża, brzmienie — dość bogate. Koncert rozpoczęła uwertura Grażyny Bacewiczówny o jasnej, zwartej formie, pełna subtelnej finezji. W utworze tym, opartym na ciągłym ruchu, ludowość nie jest pojęta prymitywnie, nie jest po efekciarstwu wyłożona na talerz, a jednak bije z niego polski duch. Odegrana Suita Góralska Jana Ekiery należy do jednego z pierwszych utworów kompozytora, powstałych pod wpływem Szymanowskiego i choć niepozabawiona dobrych brzmień, jest niejednolita pod względem inwencji twórczej i rysunku kompozycyjnego. Improwizacja Kujawska St. Popiela mimo ładnych tematów wypadła rozwlekła. Również Pieśni Weselne z Poznańskiego choć dobrze opracowane, są przeciągnięte. Ogólnie zatem biorąc, program wypadł nieco jednostajnie i nudno. Szkoda, że Orkiestra Lud. nie dysponuje własnym repertuarem.

Kwestia to dla niej najważniejsza, decydująca o celowości istnienia a także planowanych wyjazdów zagranicę. Poza wymienionymi utworami wykonano: 2 Mazurki St. Kazury, J. Maklakiewicza Zbójnicy, A. Sonnenfelda Oberek Fantastyczny i H. Wieniawskiego Obertasy. Na bis Wisłocki poprowadził swój kipiący temperamentem Taniec Zbójnicki, przelamując wreszcie swą zbytnią może powściągliwość i opanowanie, wyrażające się w ciągu całego koncertu zbyt wolnymi tempami. Powściągliwość ta przyczyniła się jedynie do świetnego akompaniamentu orkiestry w pieśniach wykonanych bardzo ładnie i z wielką kulturą przez Marię Drewniakównę (Karłowicz, Nowowiejski, Moniuszko — Prząszczka), oraz przez J. Adamczewskiego (Niewiadomski).

Jednym z najciekawszych koncertów był wieczór pieśni murzyńskich i indiańskich zorganizowany przed miesiącem przez Dyrekcję Szkoły Kurpińskiego. Koncert ten dał wrażenie nieszablonowe. Ktokolwiek spodziewał się usłyszeć ostry, zgiełkliwie melodie jazzowe murzyńskiego pochodzenia, zawiódł się. Bardzo pięknie odśpiewane przez Olę Ładę pieśni murzyńskie mają zupełnie odmienny charakter. Pochodzą one z okresu, gdy murzynów sprowadzano jako niewolników z Afryki do Ameryki (w. XVIII) i w związku z tym przepojone są smutkiem i tęsknotą. Stanowią one konglomerat chrześcijańskich chorągów i tradycyjnych pieśni murzyńskich, bowiem pokrzywdzeni niewolnicy w bólu swym uciekali w świat religii i zli swę pieśni z surowymi melodiami chorągów, nadając im charakter namiętłego wołania do Boga.

Pieśni murzynów amerykańskich, którzy mimo niewoli, nie zairacili swojej odrębności, stanowią najszlachetniejszą emanację duszy murzyńskiej. We wszystkich odśpiewanych Negro Spirituals uderza głębia wyrazu przy równoczesnej wielkiej prostocie środków muzycznych. Pewna monotonia zwanego w nich cierpienia nadaje im charakter kontemplacyjny. Zamieszczone w programie koncertu Indian songs są mniej ciekawe i oryginalne, choć również ładne. Skomponował je Thurlow Lieurance, starając się wniknąć w psychikę Indian Amerykańskich. Pieśni te mają charakter liryczny. Akompaniament do nich jest bardziej rozbudowany, niż do pieśni murzyńskich, w których odgrywa bardzo małą rolę. Olga Łada stała solistką Warszawskiego Radia wykonała cały program nadzwyczaj kulturalnie i muzykalnie. (Teksty angielskie). Dogłębne przeżycie śpiewanych utworów znalazło swój wyraz w każdej frazie podanej z umiarem i szlachetnością. Pięknymi pianami i finezją zjednała też sobie całkowicie publiczność. Akompaniował doskonale Władysław Szpilman. Koncert poprzedzono słowem wstępnym skreślonym przez Zofię Lisę.

Więcej zainteresowanie wzbudził recital Ady Sari zorganizowany przez C. B. K. (Śpiewaczka była w doskonałej formie i we wszystkich utworach, z wyjątkiem Tarantelli Rossiniego, wykazała właściwy sobie kunszt. Słuchając Sari mimo woli wspominaliśmy czasy jej świetności. Wspomniała technika i rutyna artystyki budzi podziw. Pięknie wypadła Habanera Ravela i odśpiewany między innymi na bis Walc Brahmsa. Jeżeli chodzi o sam program, budzi sprzeciw umieszczenie obok siebie Friemana „Cudnych oczu” z arią Szymanowskiego z op. „Król Roger”. Towarzyszyła śpiewaczce starannie E. Wernikówna.

Koncert Jerzego Gardy (org. C. B. K.) w Romie poprzedzony był dużą reklamą, która też dała swoje rezultaty. Widać pieczęta zagraniczna wciąż robi swoje. Solista La Scali miał olbrzymie powodzenie. Garda jest typowym przedstawicielem operowej szkoły włoskiej. Choć ma bardzo piękny, głęboki głos (baryton) i tylko przez niewybrednego słuchacza doskonale nim włada, popadł w nieszlachetną manierę nienaturalności, która może być poczytana za objaw temperamentu śpiewacza. Tak arie jak i pieśni (Moniuszko, Thomas, Meyerbeer, Bizet, Rossini, oraz Karłowicz, Marczewski) zestawienie obok siebie tych dwóch autorów jest dość niesmaczne), Respighi, Leoncavallo, Pergolese, Rachmaninow, Guy d'Hardelot śpiewa Garda w ten sam sposób, napawając się swoim głosem i wirtuozerią, a nie zwracając zbytniej uwagi na styl wykonywanych utworów. Najlepiej wypadła Aria Janusza z „Halki” i Cavatina z Cyrulika Sewilskiego. A. kompaniował jak zwykle świetnie, prof. Jerzy Lefeld.

W przeciwieństwie do koncertu Gardy, recital fortepianowy Władysława Kędry zorganizowany był bardzo nieudolnie i odbył się prawie przy pustej sali, choć przyswiecał mu cel dobroczynny. A przecież Kędra należy do tych artystów, którzy zasługują na zainteresowanie. Młody, utalentowany pianista jest jednym z najlepszych najbardziej pracowitych i obiecujących wirtuozów, posiadających swoje indywidualne oblicze. Znamienną cechą jego gry jest odrzucenie sentymentalizmu na rzecz konstruktywnych wartości wykonywanych utworów. Wartości te wydobywa z całą subtelnością, ukazując nam niedostrzeżone przy zastosowaniu innej interpretacji piękno. Tego dnia Kędra nie był w swojej najlepszej formie, a zatem chwilami brakło mu precyzji (nieświadomo artysta przechodził ciężką chorobę), parę jednak utworów zagrał świetnie — zwłaszcza niektóre Etiudy i Poloneza fis mol Chopina (Duże formy lepiej odpowiadają Kędrze, niż małe). Druga część koncertu przyniosła nam pewne rozczarowanie, jeżeli chodzi o dobór utworów. Razilo zestawienie Szymanowskiego pełnego treści muzycznej z dyletancko-salonowym i banalnym Wielhorskim. Nudnie wypadła Legenda Różycyckiego i Nokturn Paderewskiego. Ale rozumujemy, że ułożenie programu z samych polskich i to popularnych utworów, jest sztuką nielada.

Koncert jubileuszowy Tow. Śpiewaczego „Harfa”, prowadzonego od r. 1906 przez prof. W. Lachmana i mającego poza sobą ponad 1300 występów, odbył się dzięki olbrzymiej reklamie przy nabitej sali Romy. Program obejmował utwory polskich kompozytorów (Moniuszki, Nowowiejskiego, Lachmana, Wallek-Walewskiego, Macury, Galla, Maszyńskiego), oraz pieśń norweską i jugosłowiańską. Chór wykonał je a capella, a także z udziałem solistów. Chwilami nadużywano nieco siły dźwięku — zwłaszcza razila ostrosć brzmienia tenorów. — lecz zastosowano także niezłe efekty dynamiczne w pieśni jugosłowiańskiej i w oklaskiwanych gorąco przez publiczność dwóch pieśniach partyzanckich, opracowanych

przez Lachmana. Z pośród solistów należy bezwzględnie wyróżnić Wiktora Bregy, który wykonał między innymi rządko śpiewany, a dość ciekawy fragment z op. Wanda Doeplera. Pozostali soliści (Piwońska, Soplica-Michalski i Siedlecki) nie stali na poziomie. Zwłaszcza źle wypadła Ballada o Florianie Szarym Moniuszki w wykonaniu Soplicy-Michalskiego. Dyrektor Resortu Kultury i Sztuki H. Ładosz w imieniu Zarządu Miejskiego i prezydenta Warszawy wyraził „Harfię” uznanie za tyloletnią pracę na polu szerzenia kultury śpiewającej w Polsce.

Aby dać pełny obraz życia muzycznego w stolicy, trzeba wspomnieć o stale organizowanych przez Rektora Warsz. Konserwatorium, St. Kazurę audycjach studenckich, które się odbywają w małej, lecz uroczej sali na Górnośląskiej. Audycje te bardzo starannie przygotowane, mają duże znaczenie, jeżeli chodzi o zachęcenie młodzieży do pracy i szlachetnej rywalizacji, a także przygotowanie jej do występów publicznych. Zainteresowani mogą równocześnie śledzić metody i wyniki nauki. Na ostatniej audycji zaprezentowano uczniów naszego najlepszego w Polsce pedagoga gry skrzypcowej, J. Jarzębskiego, uczniów klasy fortepianu M. Trombini-Kazurowej, oraz klasy śpiewu prof. St. Kazury. Na wyróżnienie zasługuje wykonanie koncertu na dwoje skrzypiec Bacha (W. Niepołomski i J. Jarzębska), sonaty Haydna i Toccaty Statkowskiego (Radwanówna Hanna), oraz wykonanie ciekawych kompozycji prof. St. Kazury na dwoje skrzypiec dublowanych i żeński zespół śpiewaczy: Chorał, Alleluja, Bajka „Noc świętojańska”, Bajeczka „Straszna pieśń o koguście”, a także bogato i ładnie brzmiącej kompozycji na kwartet i śpiew (2 sopran i 2 alt) „W lesie”.

Wanda Bacewiczówna

Chopin prosi o swoje taniemy

Dnia 4 kwietnia odbyła się w lokalu Związku Muzyków w Warszawie konferencja prasowa poświęcona sprawom organizacyjnym Związku i jego pracy nad

upowszechnianiem muzyki w Polsce. Oto garść informacji podanych przy tej okazji przez Prezesa Związku Piotra Perkowskiego, a dotyczących spraw muzyki polskiej zagranicą.

Sławny nasz rodak, dyrygent Stokowski, zamieszkały stale w Ameryce, postanowił własnym kosztem wybudować w Warszawie Filharmonię na... 9.000 osób. Sprawa to delikatnej natury, aby mu wyjaśnić, że odpowiedniejsza dla Warszawy byłaby sala na maksimum 3.000 osób, Stokowski ma już bowiem gotowe plany budowy.

Ponieważ Chopin jest ostatnio w wielkiej modzie, nasi artyści w Ameryce w osobach Rubinsteina, Hubermana, Stokowskiego, Rodzińskiego, a także Tuwima postanowili wyzyskać ten moment i w porozumieniu z Instytutem Fryderyka Chopina zbierają fundusz dla sztuki polskiej pod hasłem „Chopin prosi o swoje taniemy”. Odbywa się to za pomocą pobierania odpowiednich procentów w postaci taniem od koncertów chopinowskich tak publicznych jak i radiowych, oraz od płyt z nagraniem Chopina, które są w Ameryce rozchwytywane. Druga akcja pomocy dla muzyki polskiej jest prowadzona w Szwajcarii z inicjatywy dyrygenta Raymond de la Roche. Na czele tej akcji stoi Toscanini.

Za pośrednictwem Sztompki przebywającego na koncertach w Szwecji, przyszła wiadomość, że Ameryka przesyła Polsce 6 fortepianów Steinway'a.

Metropolitan Opera House w Nowym Yorku zamierza wystawić „Straszny Dwór” Moniuszki.

W październiku odbędzie się w Nowym Yorku Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej z udziałem sekcji polskiej, a w lipcu — Festiwal Muzyki Współczesnej w Londynie z udziałem Polski.

Stowarzyszenie Młodych Muzyków Polaków w Paryżu przygotowuje koncert Muzyki Polskiej z okazji 20-lecia istnienia Stowarzyszenia. Do Paryża wyjechała na koncerty Grażyna Bacewiczówna, a do Moskwy wyjeżdża ekipa złożona z Bandrowskiej-Turskiej, Wilkomirskiego i Ekiara.

Wanda B.

Książka w świetle

„Pełną parą naprzód” szkice o reformie poglądów Tory'zmu (angielskiego konserwatywnego) Lorda Hinchinbrooke.

Problem ewolucji pojęć politycznych, jak się okazuje, jest zarówno palącym w Polsce, jak i w Anglii. Warto to podkreślić tym bardziej, że właśnie w Anglii tradycyjne pojęcia polityczne ugruntowały się tak mocno, że stały się poniekąd dogmatami rządzącymi życiem politycznym. Wprawdzie tradycyjny podział angielski na dwa kierunki polityczne — Torysów i Whigów został przekreślony z chwilą, kiedy na początku XX-go wieku powstała Labour Party jako czynnik trzeci, dziś jednak sądzi się przeważnie, że była to prostożką zmiana warty, w czasie której socjaliści zastąpili liberałów, utrzymując podział tradycyjny, dualizm polityczny.

Lord Hinchinbrooke należący do tradycyjnego kierunku Tory pragnął jednak przeanalizować raz jeszcze zasadnicze fundamenty, na których ruch ten się opiera. Toteż książka ta składająca się z całego szeregu szkiców i artykułów publikowanych w prasie, stawia przede wszystkim pytanie czy Tory'zm równoznaczny jest z konserwatyzmem. Autor zgóry i w sposób zdecydowany odpowiada — nie. Z tego powodu unika on w swej pracy wyrazu konserwatyzm, czy konserwatyści, charakteryzując ugrupowanie do którego należy.

„Skażona krew” trująca Tory'zma, to właśnie tendencja konserwatywna, to dążenie do utrzymania liberalizmu ekonomicznego i przedwojennego status quo gospodarczego, to próba ratowania zagrożonych interesów wielkiego kapitalizmu angielskiego. Zdaniem autora, takie jednostronne powiązanie interesów jednej warstwy ludności z założeniami ruchu politycznego jest zasadniczą przyczyną, dla której Tory'zm przestał odgrywać tę rolę, którą powinien być odegrać. Autor próbuje przeprowadzić podział pomiędzy pojęciem „konserwatysta” a „zachowawca”. Różnica w rozumieniu autora polega na tym, że konserwatystą jest ten, kto broni dawnego porządku gospodarczego, kto broni interesów warstw uprzywilejowanych, zachowawcą zaś jest ten, kto opiera swoją działalność polityczną na dobrym rozumieniu brytyjskiej tradycji, na „umówieniu kraju i dażeniu do tego, by najlepsze nasze cechy narodowe wywierały odpowiedni wpływ na świat”. Stawia on postulat, aby z miliona sprzecznych poglądów i zdań uczynić stop, stanowiący jednolity „brytyjski pogląd” i w ten sposób przedstawić się światu zjedzeni nie tylko jako naród, ale Imperium Brytyjskie. Jego demokracja ma być pełna dynamizmu, realna, przedsiębiorcza, nie uznająca żadnych przywilejów, które by za sobą nie pociągały odpowiednich obowiązków.

O ile więc konserwatyzmem w rozumieniu autora jest przede wszystkim wsteczność na odcinku społecznym, brak dostatecznego zrozumienia dla procesów socjalnych i ekonomicznych, chęć bronienia atakowanych przez rozwój społeczny warstw uprzywilejowanych, o tyle przez „zachowawstwo” rozumie on przede wszystkim tradycjonalizm narodowy. W tym sensie przeciwstawia on

kosmopolitycznym, jego zdaniem, tendencjom Labour Party swoisty brytyjski nacjonalizm, reprezentowany przez Tory'zm. Zaleca on natomiast swojemu obozowi przyjęcie programu społecznego wyznawanego przez partię najbardziej postępową. Popiera w całej rozciągłości program ubezpieczeń społecznych a la Beveridge. Domaga się daleko idącej ingerencji rządowej w planowaniu gospodarczym tak miejskim, jak i wiejskim. Wysuwa zachwałę, jak na stosunki angielskie, żądanie kontroli państwowej w sprawach transportów, produkcji węgla, rolnictwa, bankowości i finansów. Zapowiada, że „jego rozumieniu, nowoczesny Tory'zm „obejmuje wielką część nowoczesnego socjalizmu”.

Powyższe wywody są istotnie zadziwiające, jeśli weźmiemy pod uwagę, że wygłasza je członek tak czy inaczej nazwanej, lecz w każdym razie partii konserwatywnej. Przytacza wprawdzie lord Hinchinbrooke raz po raz wypowiedzi jednego z najświeższych przywódców swego stronnictwa, Disraeliego, przecież nie należy sądzić, by poplecianicy tego meża stanu chętnie spoglądali by na reformy społeczne lorda Hinchinbrooke, nawet gdyby problemy te były przestawione na warunki czasów królowej Wiktorii.

Jak wiadomo pojęcie stronnictwa politycznego posiada zupełnie inne znaczenie w Anglii niż na kontynencie Europejskim. Nie jest to, w ścisłym tego słowa znaczeniu, partia polityczna, nie wiąże zasadą karności organizacyjnej, nie wiąże nawet ściśle określonym programem. Znane są fakty, gdy na terenie Izby Gmin niektórzy posłowie jednego stronnictwa głosowali przeciw projektom wysuwany przez swoje własne ugrupowanie. Stronnictwo w Anglii oparte jest przede wszystkim na odrębnościach tradycyjnych i na personalnym zaufaniu do przywódców. Stąd też możliwość nawet dosyć daleko idących rozbieżności programowych w łonie jednego obozu.

Stanowisko lorda Hinchinbrooke — prezentuje w danym wypadku poglądy znacznej poności grupy młodych polityków w partii konserwatywnej. Eksperyment przez nich wypracowany jest jednak dosyć ryzykowny. Jest to próba przeniesienia na środowiska torysowskie tych koncepcji i prądów społecznych, które stanowią dziś cechę charakterystyczną angielskiej Labour Party. Jeśli by się to udało, byłoby to bez wątpienia dużym sukcesem wzmacniającym niesłychanie wewnętrzną solidarność narodu brytyjskiego. Biorąc pod uwagę znany realizm Brytyjczyków należy sądzić, że różnice programowo-społeczne zatrą się zapewne dosyć szybko. Z jednej strony Labour Party pozbawiona jest w swej działalności nadmiernej balastu doktrynalnego, z drugiej strony środowiska koncentrujące się wokół konserwatystów szybko zapewne pogodzą się z tymi zmianami w strukturze społecznej, które uznają za nieuchronne. Inaczej jednak sprawa wygląda na odcinku nacjonalizmu brytyjskiego tak podkreślonym w koncepcjach Tory'owskich. Problem przyszłości Imperium Brytyj-

skiego, problem liberalizmu politycznego wobec licznych narodów w skład jego wchodzących, czy też egoizmu narodowego oto zasadnicze źródło konfliktów pomiędzy dwoma wielkimi kierunkami politycznymi w Anglii.

Wywody lorda Hinchinbrooke'a należałyby z polskiego punktu widzenia potraktować wyłącznie jako ciekawostkę polityczną, gdyby nie uwzględnić specyficznej atmosfery, która narasta wokół problemów tradycyjnych podziałów politycznych. My w Polsce mamy nie mniejszą niż Anglicy skłonność do dzielenia środowisk politycznych na zasadzie pewnych przyzwyczaję, nie zwracając

uwagi na ewolucję pojęć i poglądów. Wydaje się nam rzeczą słuszną by bacznie przyglądać się rozwojowi pojęć politycznych w innych państwach, by utrwalić się w przekonaniu, że założenia i programy społeczne muszą ewoluować wraz z ewolucją środowisk politycznych, że z drugiej strony środowiska polityczne nie powinny w tej ewolucji zatracać swoich cech charakterystycznych. Zasadniczą więc i najciekawszą myślą lorda Hinchinbrooke dla nas jest jego stwierdzenie, że nacjonalizm brytyjski nie musi i nie powinien wiązać się z konserwatyzmem ustrojowym i gospodarczym.

G. G.

Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

CZY WYGRAMY?

Pod tym tytułem ukazał się w czeskim tygodniku „Prumyslový Vestník” artykuł Dr. K. Ryska, omawiający zagadnienie zdolności konkurencyjnej czechosłowackich wyrobów przemysłowych na rynkach zagranicznych.

Na wstępie autor stwierdza, że zagadnienie powyższe stanowi punkt newralgiczny gospodarki Czechosłowackiej i zostanie rozwiązane tylko wówczas, o ile „zainteresowanie społeczeństwa jako widzów zmieni się w zainteresowanie twórcze, w prawdziwą współpracę ofiarą i pełną inicjatywą objawioną przez każdego obywatela w zakresie jego czynności czy stanowiska i zmierzającą do zlagodzenia względnie usunięcia tych trudności, które obniżają względnie eliminują naszą zdolność konkurencyjną na rynkach międzynarodowych”.

Trudności w rozwoju eksportu Czechosłowackiego leżą przede wszystkim w niekonkurencyjności cen. Nie zapomina jednak autor o tej okoliczności, że poważny procent eksportu stanowią artykuły luksusowe, których import jest przez kraje dotknięte zniszczeniami wojennymi radykalnie ograniczony.

Niekonkurencyjność cen jest udowodniona konkretnymi faktami.

Przede wszystkim Z. S. R. R., który jest największym dostawcą Czechosłowacji w zakresie surowców, domaga się obniżenia cen importowanych do Rosji maszyn, poziom ich bowiem jest znacznie wyższy od cen amerykańskich, mimo tego, iż surowce są dostarczane Czechosłowacji po cenach światowych.

Nawet w zakresie artykułów tekstylnych, których brak daje się poważnie odczuwać na rynkach światowych, istnieją poważne trudności zbytu dla Czechosłowacji z uwagi na zbyt wysokie ceny. Szwedzka firma oferowała za trykoty męskie, których cena krajowa wynosi 576 Kc. za tuzin — tylko 239 Kc. Na rynkach skandynawskich i w Szwajcarii Argentyna, Brazylia i U.S.A. dostarczają towary wełniane po cenie 100 — 120 Kc. za 1 m., a cena czechosłowacka wynosi 170 — 180 Kc. Damskie materiały i bielizna oferowane Holandii, okazują się o 80% za wysokie. Wyroby przemysłu ceramicznego mogą znaleźć zbytni w Szwecji, Szwajcarii, Holandii przy zniżce wynoszącej około 36%. Wyroby przemysłu chemicznego natrafiają na konkurencję towarów angielskich, amerykańskich, kanadyjskich, których cena jest o 50% niższa od cen czeskich.

We wszystkich działach, a w szczególności w dziale towarów gatunkowo ciężkich poważnie obniżają zdolność konkurencyjną towarów czeskich wysokie koszty przewozu przez Niemcy, liczone według stawek lokalnych oraz przy tym, że kurs korony czeskiej został ustalony według kursu przedwojennego i wynosi 1 RM — 19.94 Kc.

Autor odrzuca pogląd, że na drodze zabiegów dewaluacyjnych można osiągnąć poważne zwiększenie konkurencyjności eksportu czechosłowackiego, twierdzi bowiem, że przy obecnych stosunkach dewaluacja „oznaczałaby tylko premiowanie technicznie i handlowo zacofanych przedsiębiorstw i byłaby pochłonięta przez nieproduktywne koszty administracyjne”. Natomiast pierwszym warunkiem utrzymania się na rynkach jest, zdaniem autora, osiągnięcie poziomu cen, które wytworzą się w wyniku światowego współzawodnictwa.

Poważnym czynnikiem w wyrównywaniu się cen pomiędzy poszczególnymi krajami będzie rozwiązanie zagadnienia przydziału surowców.

Póki jednak to nie nastąpi, należy wyteżyć wszystkie siły wewnętrzne w kierunku obniżenia cen krajowych i umóżliwienia w ten sposób eksportowi czeskiemu konkurowania na rynkach światowych.

Autor wymienia następujące środki, które mogą doprowadzić do osiągnięcia powyższego celu:

- 1) zwiększenie produkcji,
- 2) przejście od systemu płac godzinowych na płace akordowe,
- 3) obniżenie kosztów administracyjnych i nieproduktywnych płac. Autor domaga się redukcji personelu administracyjnego zarówno w zakładach, jak i urzędach o 50%.
- 4) rewizji cen surowców produkcji krajowej,
- 5) obniżenie taryf transportowych zarówno krajowych jak i zagranicznych.

P. T.

Finansowanie szkód wojennych we Francji. Wszystkie kraje, które ucierpiały z powodu wojny, stoją obecnie przed koniecznością obrania właściwej metody sfinansowania odbudowy szkód wojennych. Z natury rzeczy będzie się ona różnić w poszczególnych krajach, zależnie od tego, jakie są rozmiary zniszczeń, jaka ilość pozostałych materiałów, urządzeń, sił roboczych, wreszcie jakie szanse uzyskania pomocy z zewnątrz; nie mniej istotą problemu pozostaje ta sama, gdyż wyznacza ją objaw, stanowiący wszędzie nieomal regułę: dysproporcja między zadaniem a środkami. Stąd aktualność także i dla polskiego czytelnika rozważań, jakie tygodnik „L'Economie” poświęca finansowemu problemowi rekonstrukcji Francji.

Problem ten posiada dwie strony. Pierwsza z nich, to ustalenie, co należy finansować. Należy tu: 1) określenie zasad, według których odszkodowania mają być przez Skarb Państwa wypłacone, 2) ustalenie poszczególnych kategorii szkód (w ruchomościach, nieruchomościach, szkód przemysłowych, handlowych itd.). Druga strona streszcza się w odpowiedzi na pytanie: jak finansować? W szczególności chodzi o zdobycie środków finansowych: czy czerpać je z podatków, pożyczek czy inflacji?

Na wstępie nasuwa się oczywiście pytanie, co do rozmiarów szkód wojennych. Motywy urzędowe dekretu z 10 kwietnia 1945 r. oceniają szkody na 1.500 do 2.000 miliardów franków. Liczba ta niewiele nam mówi, zważywszy wahania w sile nabywczej franka. Ostatnie obliczenia statystyczne oceniają na 3.000 do 4.000 miliardów franków koszty pełnego przeprowadzenia rekonstrukcji, t. zn. łącznie z wyrównaniem pośrednich strat w majątku narodowym. Są to oczywiście szacunki nader niedokładne, przedstawiające wartość jedynie bardzo ogólnych wskaźników orientacyjnych.

Konkretniejszego obrazu dostarczają inne dane. Pouczającym jest zwłaszcza zestawienie zniszczeń, spowodowanych przez obie wojny światowe. Pozytywny charakter pierwszej wojny ujawnił się w mniejszym zasięgu terytorialnym zniszczeń, natomiast większy ich koncentracji. Tak więc rozmiary zniszczeń w departamentach północnych były znacznie większe w latach 1914 — 1918, niż w latach 1939 — 1945, co wyraża się w relacji 8:5. Druga wojna światowa rozgrywała się natomiast na szeregach frontów, obejmujących departamenty na północy, w Normandii, na wschodzie, nad Morzem Śródziemnym. W latach 1914 — 1918 szkody wojenne dotknęły 927.000 budynków, z czego 368.000 uległo całkowitemu zniszczeniu, a 559.000 częściowemu. Według dotychczasowych obliczeń ilość budynków, uszkodzonych w latach 1939 — 1944 z powodu działań wojennych, wynosi 1.888.000, w tym zupełnie zniszczonych 453.000, częściowo zaś: 1.436.000.

Byłoby oczywiście niedopuszczalnym uproszczeniem wnioskować stąd, że druga wojna światowa kosztowała Francję tylko dwa razy więcej, niż pierwsza, trzeba bowiem jeszcze uwzględnić koszty czteroletniej okupacji niemieckiej, połączonej z systematycznym łupieniem kraju. Dla orientacji należy zaznaczyć, że od 1919 do 1928 r. wypłacono około 80 miliardów franków odszkodowań. Wobec wahań, jakim w owym dziesięcioleciu podlegała siła kupna franka, dokładne przeliczenie na obecne franki jest naturalnie niemożliwe, można jednak zgrubszą przyjąć, że szkody wskutek pierwszej wojny światowej przedstawiają wartość od 500 do 800 miliardów dzisiejszych franków, t. zn. trzy do czterech razy mniej, niż szkody z powodu drugiej wojny, oszacowane we wspomnianych poprzednio urzędowych motywach dekretu z 10 kwietnia 1945 r. na 1.500 do 2.000 miliardów franków.

Z samych rozmiarów szkód wynika zatem, że Francja znajduje się po drugiej wojnie światowej w sytuacji bez porównania gorszej, niż po pierwszej. Dalsze okoliczności jeszcze bardziej ją utrudniają. W 1919 r. można było liczyć na reparacje niemieckie. Niemcy, które miały zapłacić 65 miliardów, wykreśliły się oczywiście od odszkodowań na wszelkie sposoby, mimo wszystko jednak spłacił blisko 1/3 tej sumy. Dziś na odszkodowania od Niemiec nie ma co wcale liczyć, poza tym Francja jest gospodarczo o wiele bardziej wyczerpana, a wreszcie — znamienne przyznaniem w ustach francuskiego publicysty — jej pozycja światowa także pod względem politycznym pozostaje daleko w tyle za pozycją, zajmowaną po pierwszej wojnie.

Autor przechodzi z kolei do analizy pierwszego aspektu finansowania odbudowy zniszczeń: co należy finansować?

Zasadnicze założenie zostało ustalone już w ustawodawstwie z 1940 r., chociaż szkody wojenne nie sięgały jeszcze wówczas czwartej części obecnych. Różni się ono zupełnie istotnie od zasady, przyjętej po pierwszej wojnie światowej. Wtedy ustawodawca zastosował poprostu koncepcję odszkodowania, obowiązującą w kodeksie cywilnym, t. zn. przywrócenie poszkodowanemu tego stanu majątkowego, jaki istniał przed powstaniem szkody. Wyrównaniu miały ulec wszystkie straty według wartości, przyjętej w obrocie, bez względu na to, czy chodziło o artykuły pierwszej potrzeby, czy też o artykuły luksusowe. W roku 1940, gdy niepodobna było przewidzieć przyszłego rozwoju sytuacji gospodarczej Francji, prosta przezorność nie pozwalała na tak liberalne potraktowanie sprawy odszkodowań. Miejsce zasady całkowitego wyrównania wszelkich, jakiegokolwiek rodzaju strat majątkowych zajęto kryterium potrzeb gospodarczych kraju, ocenianych z punktu widzenia ich doniosłości i pilności. Do tych samych założeń nawiązują wspomniane już motywy dekretu z 10 kwietnia 1945 r. Stwierdzają one, że w 1919 r. odszkodowania miały charakter indywidualistyczny i zachowawczy. Jednostce przysługiwało wobec państwa określone roszczenie o przywrócenie jej stanu majątkowego z okresu przed powstaniem szkody wojennej. Obecnie decyduje troska o dobro ogółu i o przyszłość. W hierarchii potrzeb interes powszechności góruje nad interesami indywidualnymi, obowiązują zmiany na lepsze nad zwyczajną rekonstrukcją stanu z przed wojny, zwłaszcza w tak ważnej społecznie dziedzinie urbanistyki.

Wszystko wskazuje na to, że dalsze normowanie sprawy odszkodowań pójdzie we Francji po linii zasad, na których było oparte ustawodawstwo z lat 1940 —

1944 r. Jak w głównych zarysach one wyglądają?

Podstawowe znaczenie w tej mierze posiada ustawa z 11 października 1940 r. ze zmianami z dn. 12 lipca 1941 r. Udział państwa w finansowaniu odbudowy szkód wojennych jest uzależniony w swych rozmiarach od rodzaju szkód. W odniesieniu do ruchomości domowych odszkodowanie jest w zasadzie ryczałtowe, przy czym ryczałt jest ustalany stosownie do liczebności rodziny. Rozp. z 8 września 1945 r. przewiduje 45.000 franków na małżeństwo z dodatkiem 15.000 fr. na każde dziecko. Chodzi więc o zapewnienie rodzinie najniezbędniejszych przedmiotów gospodarstwa domowego. Jak widać, udział państwa jest tu bardzo skromny. W odniesieniu do budynków mieszkalnych natomiast celem jest prawdziwe wyrównanie szkody, mianowicie państwo ponosi 20% do 90% normalnych kosztów budowy budynku, zbliżonego rozmiarami i charakterem do budynku zniszczonego. W odniesieniu do przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych ustawa z 28 października 1942 przyjmuje już inne zasady odszkodowania. Sam fakt uszkodzenia nie uzasadnia jeszcze prawa do odszkodowania. Decyduje znaczenie, jakie przedstawia dane przedsiębiorstwo z punktu widzenia interesu gospodarstwa narodowego. Udział państwa wynosi do 70% i zależy od tego, czy chodzi o budynki, urządzenia czy zapasy. Odszkodowania dla rolników są wreszcie unormowane dekretem z 8 września 1945 r. i przedstawiają kombinację zasad, stosowanych przy odbudowie domów mieszkalnych oraz przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych.

Wspólną cechą tych wszystkich przepisów stanowi ich charakter doraźny, zmieniający do umożliwienia poszkodowanemu jak najszybszego podjęcia normalnej pracy. Rozmiary definitywnego udziału państwa w odbudowie szkód nie zostały ustalone, narazie skarb ogranicza się do wypłacania zaliczek poszkodowanym.

Procedura w sprawach odszkodowawczych jest sumaryczna, ostateczne ustalanie szkód i roszczeń jest na dalszym planie, na pierwszym stoi zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb.

Interesujący jest dotychczasowy rozdział odszkodowań, wypłaconych od 1940 r. Ilustruje go poniższe zestawienie: (Na pierwszym miejscu — wysokość kwot, na drugim — ilość załatwionych podań)

ruchomości — 5.000.000.000 franków, 300.000;
nieruchomości — 2.000.000.000—250.000;
przemysł i handel — 4.000.000.000, — 1.000.

W odniesieniu do nieruchomości mieszkalnych ograniczono się do niewielkich prac konserwatorskich, nie cierpiących zwłoki, a odbudowa fabryk zaledwie się rozpoczyna. W praktyce zatem do odbudowy zniszczonych wojennych jeszcze nie przystąpiono, a cała sprawa wciąż jeszcze znajduje się w fazie przygotowań.

Pozostaje do rozważenia druga strona problemu, mianowicie jak finansować?

Jeśli pominąć metody inflacyjne, które w rezultacie muszą zawsze skończyć się katastrofą, pozostaje tylko jedna droga, mianowicie mobilizowanie gospodarczych środków. Ilość środków płatniczych, uruchomionych na usuwanie zniszczeń, musi doprowadzić do powstania ekwiwalentu w postaci wzrostu majątku narodowego. Państwo znajduje się w tym przypadku w podobnej sytuacji, jak jednostka, która dla zaspokojenia nagłych i niezbędnych potrzeb musi się zadłużyć, obciążając niejako swą przyszłość hipoteką. Nakłady muszą się zamortyzować, a ponadto zapewnić nadwyżkę, wyrażającą się we wzroście wydajności gospodarki narodowej. Stąd więc niezbędnym odpowiednikiem planu odbudowy jest plan amortyzacyjny, mający kluczowe znacze-

nie dla całego jej finansowania. W związku z tym nasuwa się konieczność prowadzenia oddzielnej rachunkowości kosztów odbudowy oraz stworzenia swego rodzaju kasy amortyzacyjnej, któraby w periodycznych sprawozdaniach zestawiała nakłady z uzyskanymi z nich wpływami.

Jeśli chodzi o dobór źródeł, z których państwo czerpie środki finansowe na odbudowę, mogą być stosowane różne metody. Ustawodawstwa niektórych krajów przede wszystkim W. Brytanii, stosują system asekuracji. Każdy wpłaca premię ubezpieczeniową, a z uzyskanych tą drogą sum wypłaca się później odszkodowania. Ustawodawca francuski nie stosuje tego systemu. Analogiczną metodą byłoby przeznaczenie na koszty odbudowy pewnych, specjalnych kategorii wpływów. Mogłyby tu wchodzić w grę wpływy z reparacji niemieckich, podatki od nielegalnych zysków, czy też od niekniejących przez wojnę kapitałów rzeczowych. Wszelkie tego rodzaju świadczenia są niewątpliwie uzasadnione, są jednak zarazem niewystarczające. Lwią część kosztów odbudowy będzie musiał ponieść ogół, co nie wyklucza zresztą zbadania, w jakich granicach będzie można w poszczególnych kategoriach przemysłowych czy zawodowych pociągnąć do świadczeń na rzecz tych, którzy zostali poszkodowani, wszystkich pozostałych, których wojna oszczędziła. Czy to w skali ogólnopństwowej, czy w ramach pewnych branż i zawodów, zasada solidarności wybija się jednak na pierwszy plan. Wszyscy muszą uczestniczyć w ponoszeniu ciężarów. Rola państwa pozostaje w gruncie rzeczy ograniczona.

W praktyce sprowadza się ona, jak twierdzi autor artykułu, do opracowania planu odbudowy i amortyzacji i do skłaniania sprawozdań z osiągniętych rezultatów. Jakie one jednak będą, zależy od społeczeństwa, bo w ostatecznej instancji jego wysiłki i ofiary zdecydowały o tym, czy nadwyżki produkcyjne zostaną zrealizowane i w jakich rozmiarach.

S Z E R O K I H O R Y Z O N T

DZIENNIKARSKA SPRAWA.

Jest pewna gazeta o światowej sławie, której opinia brana jest bardzo często pod uwagę tam, gdzie chodzi o przestudiowanie zdania przeciętnego Anglika w odniesieniu do pewnych zagadnień. Pismem tym jest słynny „The Times“. Wydawczy się mogło, że gazeta ta jest oficjalnym organem rządu brytyjskiego. W rzeczywistości, jest ona czysto prywatnym przedsięwzięciem. Jej historia jest jednak tak ciekawa, że pozwolimy sobie opowiedzieć ją naszym czytelnikom z tą myślą, że pozwoli to im na zrozumienie roli, jaką może odgrywać w kształtowaniu opinii jeden poważny organ prasowy.

W roku 1785 pewien Anglik, nazwiskiem John Walter, założył w Londynie gazetę pod nazwą „The Daily Universal Register“. Trzeba nadmienić, że głównym powodem, który kierował nim w tej pracy, była chęć udowodnienia wydajności o dogodności nowego systemu składania czcionek, który miał zrewolucjonizować ówczesną technikę drukarską, pozwalając na składanie zarówno całych słów, jak i pojedynczych liter.

Sposób ten nie wytrzymał jednak próby życia i został wkrótce zarzucony, natomiast „królik doświadczalny“ — wspomniana gazeta, cieszyła się wielkim powodzeniem i po zmianie nazwy na obecnie używaną „The Times“, zalicza się do najpoważniejszych pism świata. 25 listopada 1944 roku, gazeta ta obchodziła rzadki jubileusz, wypuszczając z pod prasy swój pięćdziesiątycztery numer.

Już w roku 1788 — kiedy to dokonano wspomnianej zmiany nazwy — gazeta ta przyjęła zupełnie nowy sposób podawania wiadomości, a także zorganizowała sobie własną służbę sprawozdawczą, której naczelnym zadaniem były i dzisiejsze ideały pracy dziennikarskiej — dokładność i szybkość informacji. Związczą ta druga cecha została doprowadzona do takiej perfekcji, że czytelnik „Timesa“ miał dokładne sprawozdania o przebiegu kampanii wojennych Napoleona, jeszcze zanim rząd brytyjski otrzymał jakiegokolwiek raporty od swych przedstawicieli dyplomatycznych, czy też agentów na kontynencie.

Właściwy rozwój pisma datuje się od 1817 roku, kiedy redaktorem naczelnym został Thomas Barnes, pozostający na tym stanowisku aż do 1841 roku. Uzyskał

on współpracę najwybitniejszych piór w kraju, z Disraelim na czele, zyskując jednocześnie decydujący wpływ na kształtowanie opinii publicznej.

Równocześnie dbano bardzo o techniczną stronę wydawnictwa, instalując na przykład — jako pierwszą w Anglii — parową prasę w drukarni. Tam też zainstalowano pierwszą maszynę rotacyjną w 1848 roku i zapoczątkowano maszynowe składanie czcionek w 1879. Naturalnie, przyczyniało się to bardzo do znaczenia gazety, która tymi ulepszeniami górowała znacznie nad wszystkimi rywalizującymi z nią pismami.

Kiedy wybuchła wojna Krymska „The Times“ zorganizował własną służbę sprawozdawczą na skalę dotychczas niespotykaną. Na czoło wybił się wtedy swymi korespondencjami z frontu William Howard Russell, którego prace stawia się po dziś dzień za wzór sumiennosci i barwności wojennego dziennikarstwa. Trzeba bowiem dodać, że sprawozdania Russella nie miały nic wspólnego z tym, co dziś nazwalibyśmy „twórczością radosną“, a wprost przeciwnie, ukazywały cały koszmarny wojny czytelnikowi brytyjskiemu, żyjącemu na wyspach zdala od placu boju. Russell prowadził wielką kampanię przeciwko brytyjskiemu dowództwu, wykazując całą jego nieudolność, która kosztowała życie tylu młodych żołnierzy. Można też dodać, że pod wrażeniem jego reportaży, obrazujących zupełnie brak opieki nad rannymi na froncie, wyjechała na Krym słynna Florence Nightingale, której działalność zapoczątkowała całą pracę samarytańską w skali światowej.

W roku 1908 „The Times“ został nabyty przez lorda Northcliffe, po którego śmierci pismo stało się własnością podpułkownika Astora, który dla zapewnienia pismu całkowitej niezależności w wyrażaniu opinii, powołał do życia specjalną radę, mającą czuwać nad bezstronnością gazety.

Cała ta — opowiedziana w największym skrócie — historia „Timesa“ jest dowodem, jak pismo może się stać potęgą zupełnie niezależną od państwa, a na odwrót, wywierając wielki wpływ na jego politykę. I dlatego też dzieje „Timesa“ wykraczają poza ramy opowieści o trwałym sukcesie jakiegokolwiek gazety.

LUDZIE I HISTORIA.

Jeżeli się nad tym zastanowić, to každy przyzna, że większość ludzi, którzy pisali historię ostatniego dziesięciolecia, odeszła — a niewielu tylko przetrwało rok 1945, który był zamknięciem jednego okresu dziejowego.

Odeszli ludzie, którzy mieli na sumie

niu współwinę w tworzeniu tych „Czasów pogard“, odeszli i ci, którzy prowadzili z nimi walkę na śmierć i życie.

Mussolini, „małz opatrnościowy“ Italii, skoczył nieświeżym, powieszony za nogi, jak zarznięty wieprz, a i Adolf Hitler nie wyszedł żywy z pod ręki swej

stolicy. Hideki Tojo, który wszczął najbardziej perfidnie krwawą wojnę, usiłował bezskutecznie popełnić samobójstwo, kiedy stwierdził zupełne bankructwo swej idei.

Los nie okazał się litościwym również i dla wielu zwycięzców. Franklin Delano Roosevelt nie mógł oglądać ostatecznego sukcesu swej polityki, nie widział tryumfu swego narodu, który przeprowadził szczęśliwie przez czarne dni.

Winston Churchill, który był jednym z głównych budowniczych zwycięstwa, nie znalazł dla swej polityki aprobaty w szerokich masach społeczeństwa brytyjskiego, które w czasie pokoju wolało powierzyć ster rządu człowiekowi idącemu bardziej z postępem.

Zchang-kaj-szek zebrał owoce swego zdecydowania i determinacji, która każała mu walczyć zawsze po naszej stronie barykady, bez kompromisu i oglądania się na aktualne koniunktury.

Również i Stalin przeprowadził swój kraj z nad brzegu przepaści, nad którą znajdował się w 1942 roku, aż do stolicy wroga.

Obecnie przed światem wyrosły nowe problemy, które były nam obce jeszcze rok temu. Słupy dymu nad Nagasaki i Hiroshima były zapowiedzią nowej epoki, nowej ery. W odruchu samoobrony, stworzono Organizację Narodów Zjednoczonych. Ludzkość szuka człowieka, któryby wyprowadził ją z nowego impasu.

Ciekawie ujmuje te sprawy tygodnik „The Listener“ w artykule zatytułowanym „Kościszko“, który dla nas będzie tym ciekawszy, że przypomina aktualność myśli naszego bohatera narodowego. Artykuł ten zasługuje na zacytowanie go w całości.

„Wolność, ten dar bezcenny dla człowieka, dany jest przez Boga tylko tym narodom, które przez swą wytrwałość, odwagę i stałość we wszystkich przeciwnościach, są warte posiadania go. Świadectwem tej prawdy są dla nas wolne narody, które po długiej walce, pełnej trudu, po przewlekłych cierpieniach, po męsku znożonych, zażywają obecnie owoce swej odwagi i wytrwałości“.

Autor tych słów — Tadeusz Kościszko — urodził się przed dwustu laty. Ta rocznica warta jest podkreślenia nie tylko dlatego, że wspomina bohatera narodowego, drogiego sercom bardzo dzielnego narodu, ale i dlatego, że imię Kościszki jest dziś czczone przez narody miłujące wolność na całym świecie.

Kościszko był człowiekiem szlachetnej i rycerskiej natury i jakiegokolwiek trzeba o nim powiedzieć, że jako maż stanu był bardziej śmiały niż przemysłowy, to

jednak jako demokrat i rzecznik społecznej sprawiedliwości, wyprzedził znacznie współczesną mu epokę. Sprawa wolności, której był szermierzem, przedstawia się korzystniej obecnie, niż wtedy, kiedy on żył. Dziś ludzie bardziej stanowczo postanowili sobie zbudować świat, który byłby wolny od lęku i niedostatku, a nawet zostały już położone podwaliny pod taki świat. Narody Zjednoczone, powołane teraz do życia, zostały zrodzone przez ogólnoludzką konieczność.

Generał Smuts raz rzekł, że gdyby Liga Narodów nie istniała, to należałoby ją stworzyć. Jest to nadal aktualne w odniesieniu do Narodów Zjednoczonych naszych czasów. Trudno bowiem o zagadnienie, które dotyczyłoby naszego życia narodowego, a które nie byłoby w pewnym sensie problemem w skali światowej — wymagającym światowego rozwiązania i aparatu do urzeczywistnienia go.

Kiedy piszemy te słowa wielka organizacja międzynarodowa, z którą połączone są ludzkie nadzieje, poddana jest ciężkiej próbie. W jej trudnościach obecnych i tych, które mogą zaistnieć, nie ma człowieka z poczuciem odpowiedzialności, któryby jej dobrze nie życzył i nie dążyłby wszelkimi sposobami do jej powodzenia. Najcięższe brzemie musi spaść na barki tych, którzy są najbardziej bezpośrednio odpowiedzialni — mężów stanu i reprezentowane przez nich narody. Ale i prosty człowiek, do którego należy to stulecie, musi tu odegrać swą rolę. Większość ludów na świecie jest dziś znacznie czynniej sprzęgnięta z wynikami tej gry, niż była dwadzieścia pięć lat temu, co jest faktem napawającym nas otuchą. A to dlatego, że zainteresowanie jest pierwszym warunkiem dla stworzenia determinacji, która musi być osnową wszelkiej działalności Narodów Zjednoczonych — a mianowicie determinacji, że nie ma już dziś miejsca na niepowodzenie. Jednym słowem, bez powszechnego poparcia, aparat tego rodzaju, do jakichby nie był stworzony celów, nie będzie mógł nigdy być wprawionym w ruch, a natomiast z takim poparciem będzie mógł przekształcić świat. Każdy obywatel musi sam zadać sobie pytanie, jak najlepiej mógłby służyć tej sprawie. Kościszko znalazł na nie odpowiedź przed blisko dwoma wiekami, w bezgranicznej służbie dla swego ideału — ideału wolności. W jego wzorze wielu dziś będzie stale znajdować natchnienie“.

Tyle angielski tygodnik. Przyszłość pokaże, kogo historia uczyni tym, który poprowadzi cały świat po drodze pokojowego rozwoju.

Wilk.



Zegarek

Piotr Kalinowski — Dziwanowicz znalazł zegarek z dewizką, pędzi do żony uszczęśliwiony, bawi go w drodze wszystko: kina, tramwaje, wieczorna pora. Na dewizce świnka i korał.

Oto mieszkanko na Kępie Saskiej:
kilimy, Stryjeńska, świętki...
Chodzi w szlafroku żona znalazcy
i właśnie robi porządki:
— Co ci jest, Piesiu? Podejdz tu blisko!
— znalazłem zegarek z dewizką;

i już wyciąga Piesio cebulę,
drżą mu kolana i ręce...
— A chcesz żonusi, powiada czule,
chcesz, to go zaraz nakręcę...
Typ starodawny, miast śrubki kluczyk...
Piesio ze szczęścia mruży.

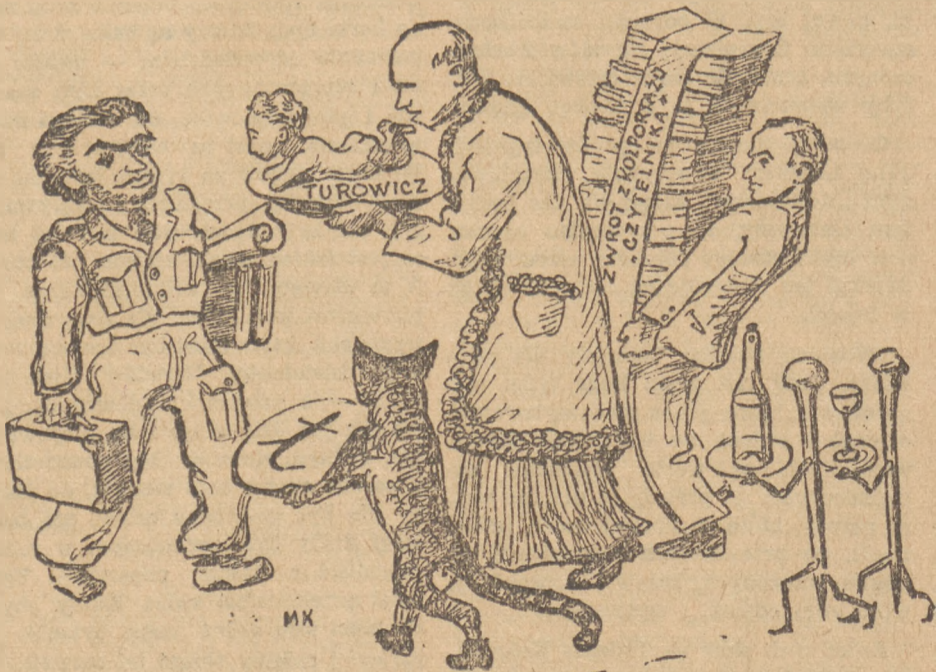
Nakręcił — tylko, że nie w tym miejscu,
zegarek z dawnych dni,
bo nagle kurant zanucił, zachręścił
„Boże, caria chrań!”
Zdumiał się Piesio, że taka siurpryza.
Łza mu się w oko wgrzyza.

Tymczasem śpiewa coraz donośniej
czasomierz dawny, zabawny,
a tak radośnie, a tak miłośnie,
że „Silny i dzierżawny...”
zeszła z pięterka stara dziedziczka:
— Mój Boże śliczna muzyczka...

Przyszedł Wunderlich, kwaśny emeryt
i Dzizio, co stał w bramie,
a potem jeszcze babcie cztery
ze swymi robótkami;
cała się zesza kamienica
u Kalinowskiego—Dziwanowicza.

Łzami spłynęły wszystkie oczy.
Piesio kluczykiem kręcił.
Plakali rzewnie do północy
i starcy i studenci,
poeci, dzieci i dryblasy:
— Bój Boże, to były czasy...

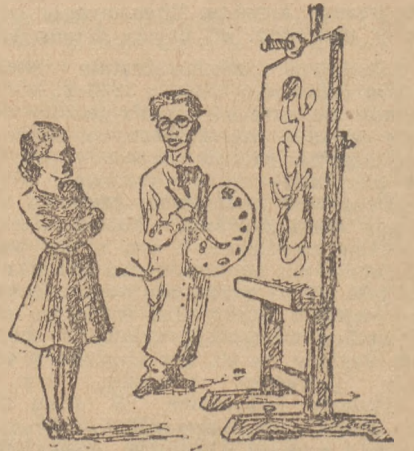
Konstanty Ildefons Gałczyński



Na powrót K. I. Gałczyńskiego (każdy niesie co ma najdroższego)



Jak sobie p. „Jaszcza” wyobraża cenzurę kościelną „Dziś i Jutro”



— „Jak znajdujesz, Zofio, moje ma-
larstwo?”
— „Nie mam słów uznania i... nigdy nie
będę miała!”



„Co on robi! Schowaj to za-
raz. Przecież wszystkie dru-
karnie są upaństwowione”



W myśl opublikowanego wezwania
Juliana Przybosia — ilustracja do jego
wiersza „Echa Leśne”

Plotki, plotki

Paniusiu droga, niech mi pani wierzy,
To „Dziś i Jutro” całkiem już leży.
Nikt ich nie czyta, paniusiu kochana.
Mówił mi mój dzisiaj — z samego rana,
A jemu przedtem po dwudziestym czystej
Powiedział o tym sam (hr) Krasieński.

Nikt ich nie czyta, droga pani,
Choć sam Gomółka zarzucił ich subsydiami.
Czy pani wie, że ten Piasecki
Już jest na ty z Borejszą i na ty z Żółkiewskim
I dlatego nawet ich „kuźnica” nie trwoży,
Choć się Kuryluk jak Rejtan z gołą piersią położył!
A Horodyński i Krasieński popili się w „Szpilkach” —
Moja paniusiu, czy to nie jest klika?!

Moja paniusiu — Piasecki — my wiemy
Za Piłsudskiego był już prawie Składkowskim,
A teraz CZYTELNIK płaci mu tantiemy,
Z „Książki” ma procent i od Minca troszkę...

A ten Bieńkowski? No, niech no pani słucha,
— takich nie lubię.
Brat minister, siostra w „Kuźnicy”, drugi brat w „Odrodzeniu”
a wuj w UB.

Podobno jego ciotką jest Kossak Szczucka...
Któż w to uwierzy?
Po żydowsku mówią do niego w ministerstwach,
— moja pani — Żyd, czy nie Żyd?

Dobraczyński — moja pani — dają szyję,
Czyta codziennie Borejszy Dmowskiego, a on jemu biblię.

A jak poszle im pani wiersz — takie чудо.
Potrzymają, potrzymają — a w końcu zgubią!

Krystyna Żuk